

odgłosy

TYGODNIK
ŁÓDZKI
Rok III
Łódź 19 VI.
1960 r.
Nr 24 (120)
Cena 1 zł

KONRAD FREJDLICH

DOKĄD, MATURZYSTO?

Wtedy, na początku czegoś nowego, nie wiedzieliśmy nic! Dwa lata temu byliśmy jak tegoroczni maturzyści, którzy czytają ten numer „Odgłosów”. Staliśmy na schodkach przed szkołą, jakiś fotograf-amator pracował na lustrzance, dla potomnych. Mam te zdjęcia. Koszula czysta, buty na glanc włos przyłizany. I potem, kiedy zesłaliśmy na chodnik, kiedy poszliśmy rozkopaną balucką ulicą, nikt się nie zastanawiał, ani nie myślał. Ze się nie liczymy, że nie mamy jeszcze biografii. Nieciekawo i standardowo wróciliśmy do domów, nawet o winie nikt nie pomyślał, chociaż spółdzielnia była tuż na rogu.

Było nas trzynaście osób, jedenasta B, dwie osoby poszły na samym końcu, więc została tylko trzynastka. W nieodwracalne, jednostkowe niepowodzenie nie wierzył nikt. Sprawdzaliśmy wtedy statystyki, mówiły to samo co dziś. Odpychaliśmy od siebie magię cyfr, nie chcieliśmy pogodzić się z losem tych sześciuset czy siedmiuset maturzystów w Łodzi, którzy się co roku na studia nie dostają. Źródła oficjalne zapewniały o miejscach na studiach dla 43 procent maturzystów.

W porównaniu z absolwentami techników byliśmy pokrzywdzeni. Mogli sobie zorganizować przyszłość bez za-

danych wysiłków. Praca na nich czekała, na studia iść mogli, a jak się któryś ściął, to jego wina. Na nas w najlepszym wypadku czekała praca kancelisty. Mieliliśmy nad nimi przewagę intelektualną, reprezentowaliśmy wyższy typ kultury humanistycznej, mieliśmy większą odporność zamkniętą w faustowską formułkę: „Kiedy upadłem nowe były wloty”. Ale urzędnicy Wydziału Zatrudnienia patrzyli na nas jak na potencjalne niebezpieczeństwo, bo taki jeden z drugim kręcił nosem, to mu nie pasuje, tamto się nie nadaje, a w gruncie rzeczy nie wiadomo, co z nim zrobić.

Z perspektywy dwu lat dochodzę do wniosku, że typ kultury humanistycznej wynoszony ze szkoły ogólnokształcącej należy uznać za niedostateczny. Niedawno przyszedł do mnie szkolny kolega, nie widzieliśmy się z rok. Stał w drzwiach, ledwo go poznałem, przystojny i elegancki. Parę razy poszliśmy razem na wargary, potem pomagałem mu prysnąć z domu, potem razem chorowaliśmy na szkolę morską. Jest na medycynie, może będzie potem robił forszę, może pójdzie w ślady Judyma, bo na lekcjach z „Ludzi bezdomnych” dostawał piątki. Ale bardziej wierze, że będzie robił forszę, choć się Żeromskim

nadal zachwyca. O teraźniejszości nie mówiliśmy. Konserwatyzm szkolnych programów doprowadza do paradoksalnej sytuacji. Dwaj młodzi ludzie, rówieśnicy, po wzajemnym uzupełnieniu wieści o innych rówieśnikach z tej samej klasy, milczą, kiedy trzeba skonfrontować imperatywy moralne wyniesione ze szkoły z aktualną sytuacją, w jakiej się znajdują. Narodowe poslanictwo i wodzostwo, ofiarnictwo i zenująca naiwność, cała użytkowa eschatologia, bagaż wieków, brzmi groteskowo w kraju Matysiaków, kiedy jakiś Genek, uczeń siódmego oddziału, w dwóch zrecznych zdaniach może wykazać jej fałsz i obłudę.

Tymczasem cała literatura wyniesiona ze szkoły od Sienkiewicza przez Żeromskiego w najmniejszym stopniu nie przygotowuje do życia w społeczeństwie so-

Dokończenie
na str.
8



Czytelnicy z terenu m. Łodzi — mogą zgłaszać okresową prenumeratę za tyg. „Odgłosy” (cena za każdy poszczególny numer — 1 zł) na 5 dni przed wyjazdem w oddziałach „Ruchu”, bądź też na 6 dni przed wyjazdem wpłacić kwotę prenumeraty okresowej na konto PUPiK „Ruch” — PKO Łódź 7-6-579 podając na odwrocie blankietu:

1. „Odgłosy”
2. Okres prenumeraty
3. Czytelne imię i nazwisko oraz dokładny i czytelny adres, pod który należy wysłać zamówiony tygodnik.

Blankiety z kontem PKO można otrzymać bezpłatnie we wszystkich kioskach i sklepach „Ruchu” mieszczących się na ul. Piotrkowskiej. Czytelnicy z terenu województwa wyjeżdżający na wczasy winni 5 dni przed wyjazdem zgłaszać okresową prenumeratę w najbliższych placówkach „Ruchu”.

W numerze: zabawna korespondencja Marka Konopki
na str. 6



W następnym numerze korespondencja własna „Odgłosów” z LIBANU p. l. NA ZIEMI (nie bardzo) świętej





„Trzeba skończyć z takim bimbanieniem! Najuczciwszy Anglik nie płaciłby ani pensa podatku, gdyby nie nakazywał mu tego jego własny, jak najlepiej rozumiany interes. „Państwo stabilne i silne — moja w nim pozycja sklepikarza będzie takaż. Jeśli i ja wywiąże się z umowy”.

Tylko praktyczne postępowanie naszych władz państwowych może spełniać skutecznie funkcje pedagogiczne w stosunku do obywateli. Rachunek jest prosty: jeśli można uczciwie zarobić pieniądze, to znaczy, że w założeniu i praktyce istnieje również zabezpieczenie interesów zarówno podatnika jak i państwa. Jeśli podatnik ukrywa swoje dochody, szkodząc państwu i w konsekwencji sobie, to niezależnie od takich czy innych usterek ustawy on w głównym mierze winien być napiętnowany.

Nie znam się na sprawach podatkowych i nie wiem, czy ów podatek wyrównawczy jest, czy też nie jest ścigalnym. Jeśli nie jest — nie ma on prawa w ogóle istnieć. Sejm powinien cofnąć ustawę i przeprosić za omyłkę. A jeśli jest ścigalnym... to dlaczego nie jest ściągany? BELFER

Wciąż wokół siebie widzimy ludzi, którzy mają samochody, budują sobie wille, wyjeżdżają na drogie wycieczki zagranicę, kupują towary luksusowe itd. Czasem wydaje nam się, że jest ich bardzo dużo. Widać ich jakoś.

Zadajemy sobie pytanie: „Skąd ci ludzie mają pieniądze?” Odpowiedzi na ten dylemat zwykliśmy szukać w rubrykach gazet, opowiadających o aferach gospodarczych. Ale przecież gdyby współzależność ta była taka prosta, żelazna i bezpośrednia, sam fakt wydawania pieniędzy mógłby stanowić dowód dla sądu. Po prostu każdego, kto ma forszę, wsadzaloby się do więzienia.

Bzdura. Trzeba założyć, że ogromna większość tych ludzi zarabia pieniądze uczciwą drogą. Jakże to są pieniądze? Czy też ściślej — ile ich jest, skoro zapewniają zaspokojenie tak kosztownych potrzeb? Ustawodawca nakreślił pewną granicę: od 8 tysięcy miesięcznie wzywać dochody mają charakter luksusowy i niezależnie od tego skąd pochodzą, trzeba od nich płać specjalny podatek wyrównawczy.

Osiem tysięcy złotych miesięcznie to, w wypadku kiedyś ma się na utrzymaniu rodziny, jeszcze daleko do samochodu i wycieczek zagranicznych a tym bardziej wili. Ale przyjmijmy te 8 tysięcy i spróbujmy odpowiedzieć na pytanie: ilu ludzi tyle zarabia?

Zdawaloby się, że odpowiedź można uzyskać nadzwyczaj łatwo. Po prostu pytając Wydział Finansowy,

ilu jest płatników podatku wyrównawczego. Oczywiście można zapytać i oczywiście można uzyskać odpowiedź. Tyle, że nie ma ona nie wspólnego z prawdą. Nawet w przybliżeniu.

W Łodzi tylko 58 osób figuruje na liście płatników tego podatku. Najwięcej wśród nich jest profesorów szkół wyższych, których dochody, czerpane z kilku tytułów widnieją na listach płac i automatycznie zostają przez odpowiednie organa finansowe kumulowane. Jest na tej liście stosunkowo dużo inżynierów i przedstawicieli branż artystycznych, głównie filmowców, najmniej zaś adwokatów i lekarzy. W ogóle nie ma zaś prywatnych przedsiębiorców.

W dużym i bogatym Poznaniu lista płatników podatku wyrównawczego liczy tylko trzydzieści kilka osób. A jest w Poznaniu 6.612 płatników podatku obrotowego i dochodowego. A jest ich w Łodzi 7.365.

Należy zatem przyjąć, że prawie cała prywatna inicjatywa (w tym np. 111 łódzkich drobnych przemysłowców) zarabia poniżej 8 tys. zł miesięcznie, że prawie nie ma przedstawicieli tzw. wolnych zawodów, którzy by za rabiali więcej, że wrażliwe Krezusów robi na nas II tylko grupa kilkuset osób, które zgodnie z danymi statystycznymi, w naszym mieście pobierała pensje powyżej 5 tys. złotych brutto czyli netto o wiele mniej.

Cóż na to można powiedzieć? Kosmiczna lipa! Sprawa podatku wyrównawczego nie jest ważną

ekonomicznie. W niektórych wypadkach indywidualnych wynosi on sto lub paręset złotych, a globalnie w Łodzi zaledwie 170 tys. zł (na owoych 58 płatników). Nie chodzi więc tu o sumy, które wpłacane uczciwie ważyłyby w decydujący sposób w budżecie ogólnym czy budżetach terenowych. Ważniejszy jest niewien ogólny aspekt sprawy: pryncypia w stosunkach państwo — obywatel.

W jakiejś takiej Anglii

Nasza szkoła

Dziedzina cudów

czy Skandynawii, gdzie w związku z istnieniem kapitalistycznej struktury własnościowej sprawy podatkowe są niewspółmiernie bardziej niż w Polsce zmagmatowane, a i sam wymiar podatków niewspółmiernie wyższy — każdy podatnik składa deklaracje i o nią w zasadzie opiera się urząd skarbowy. Oczywiście są ludzie, którzy kantuja. Ale uważani są oni za takich samych przestępców, jak ci, co kradną. I niech raz tylko podatnik wpadnie na fałszerstwo, zapłaci bakojskie sumy, pójdzie do więzienia, nigdy już nie będzie mógł prowadzić przedsiębiorstwa,

jednym słowem — przestanie być normalnym obywatelem i przypieczętuje swoją przynależność do świata przestępczego. Stanie poza nawiasem. Rodzina będzie go się wstydzić, straci znajomych, krótko mówiąc — krach życiowy.

W USA przestępczość podatkowa jest rozpowszechniona. Ale to jest przestępczość. Stanowi ona plagę społeczną w tym kraju. Aparat do ściągania podatków zatrudnia sto kilkadzie-

siąt tysięcy osób. I nie każdy może poważać się na kanłowanie. Wymaga to niebyle jakiego spryciarza. Spryciarz ryzykuje. Najeźdźciej wpada.

U nas kandy podatkowe są tak normalnym i zgoła odruchowym nawykiem, jak nie wyrzucanie pieniędzy do kanalizacji w chwili, kiedy spokojnie mogą sobie one leżeć w kieszeni.

Przyczyny tego są wielorakie. Na pewno nasz aparat podatkowy jest czasem nieudolny i niewydolny z powodu trudności kadrowych. Na pewno waży tu tradycje polskie — nigdy w dziejach nie płaciło się u

nas skrupulatnie podatków. Zawsze była to dziedzina pełna cudów i ciemnych machinacji.

Sprawa podatkowa jest bardziej kwestią natury społeczno-moralnej niż materialnej. Nasz budżet nie jest jak wiadomo, oparty o dochody podatkowe, choć oczywiście każda złotówka się przyda. Ale niewpłacanie w ogóle tego konkretnego podatku, niewykonywanie ustawy, jest jednym z elementów specyficznego traktowania państwa przez obywateli.

Istnieje pruski model w tym względzie traktowania państwa jako siły niemal boskiej, absolutnie nadrzędnej, wobec której sprzeciw jest sprzeciwem szaleńca, oznacza bowiem zgola występowanie przeciw naturze. I istnieje druga, nasza polska krańcowa. Traktowanie państwa jako równego sobie kontrahenta, partnera życiowych rozgrywek. Kiedy tylko nasz prywatny interes kłóci się z państwowym, nie podwijamy ogona pod siebie. Kokieteryjnie patrzymy na państwo i niejako mówimy: „no, chodź, chodź, zobaczmy, kto kogo?”

Waga takiej drobnej niby sprawy podatku wyrównawczego polega na tym, że skoro jest jedna ustawa, na którą nawet kichnąć nie warto — rzutuje ten fakt na ogólne stosunki państwo — obywatel, również na ważniejsze dziedziny tych stosunków, na sprawy z innej płaszczyzny.

Środki naprawcze w tej i tego typu sprawach nie polegają na wezwaniach, apelach i wykrzykniach:



KAZIMIERZ DZIEWANOWSKI

Ja, jaskiniowiec...

Ubawiała mnie ta dyskusja początkowo szczerze. Do tego stopnia, że absolutnie nie miałem zamiaru brać w niej udziału. Wreszcie uległem namowom, choć wiem, że to, co czynię, jest zupełnie irracjonalne. Bo przecież sprawa ma się tak: kilku ludzi spiera się, zajmując miejsce w piśmie i czas czytelnikom, o to czy sport ma sens, a już zwłaszcza sport wyczynowy i to w epoce technicznej cywilizacji. Ale — biedaczkowie — nie zdają sobie sprawy, że wotując: „O, popatrz, jak śmiesznie masz poplamione spodnie”, sami wpadli w wielką kalużę zupełnie tego nie zauważając.

Chyliński, który dyskusję zapoczątkował wydaje się być niesłychanie przejęty nieracjonalnością sportu. Patrzcie — powiada — jakie to głupie: ludzie wymyślają rozmaite mechanizmy, aby sobie zaoszczędzić zbędnych ruchów, ciężkiej pracy fizycznej a jednocześnie kopią piłkę, dźwigają ciężary, męczą się do granic wytrzymałości w biegach długodystansowych. Gdzie tu jakikolwiek sens? Chyliński postuluje nawet tak daleko, iż twierdzi, że w momencie gdy zostanie wymyślony automat do kopania piłki, znikną piłkarze, a pozostaną mecze polegające na manipulowaniu mechanizmem sterującym i na rynku tysiący kibiców.

Ale jednocześnie nie dostrzega on, iż stosując tego rodzaju mechanikę myślenia trzeba dojść do nieodpartego wniosku, iż sam padł w ogromną kalużę. Bo

przecież jeśli Chyliński tak bardzo troszczy się o racjonalność, to nie może nie zauważyć, iż, jak mawiali starzy, wytrawni demagodzy: „ta dyskusja niczemu nie służy”. Kilku ludzi wypowie swoje bardziej, lub mniej nieprzychylnie sportowi zdanie — i koniec. Nie się



nie zmieni, nie nie zostanie osiągnięte, frekwencja na meczach nie zmniejszy się ani o jednego widza, słynni sportowcy nie przestaną być bohaterami narodowymi, Pietrzykowski będzie zawsze bardziej znany i ceniony przez naród, aniżeli my wszyscy, czyli uczestnicy dyskusji. Tak więc stojąc wiernie Chylińskiego kryteria celowości — należałoby tej dyskusji nie podejmować. I tak też początkowo zamierzałem.

Tyle na początek. Ale skoro dałem się już wplątać w tę irracjonalną dyskusję, muszę brnąć konsekwentnie dalej. Moim zdaniem, jej uczestnicy (z wyjątkiem Tadeusza Gutkowskiego, który wszakże nie wyciągnął z tego ostatecznych wniosków) nie zauważyli, że wpekowali do jednego garnka dwa zupełnie różne zagadnienia. Jedno zagadnienie: to sport amatorski. I tutaj spór miałby wyłaznąć z charakteru sportu różnych upodobań. Jeden lubi kopać piłkę, drugi woli uprawiać ogródek, trzeci nad wszystko przykłada uczestniczenie w dyskusjach prasowych. I tak jak nieracjonalnym jest negowanie ludzkich zamiłowań do uprawiania róż. czy dyskusji w prasie, tak samo nie należy podnosić ogromnego hałasu z tego powodu, że młodzi ludzie lu-

bia pokonać innych w biegu na setkę, albo nawet na deskach ringu.

Wyładowanie swych sił w ruchu, w walce, we współzawodnictwie jest potrzebne większości młodych ludzi w pewnym wieku. Przynajmniej było potrzebne mnie. Nie mówię już o korzyściach zdrowotnych z tego płynących. Ja obojętnie skończyłem bardzo wiele. Ponieważ zaś zarówno studia prawnicze, jak i praktyka życiowa i dziennikarska przekonały mnie, że na świecie

dużo i jak często ma na to ochotę. Sport służy jemu, a nie on sportowi. Wszyscy pozostali, którzy biorą za uprawianie sportu pieniądze — a form brania pieniędzy jest bardzo wiele — są zawodowcami. Skoro biorą pieniądze — muszą coś z siebie dawać. Są zależni od sportu tą samą zależnością, w jakiej znajduje się pracownik w stosunku do pracodawcy. To jest chyba jasne. Ale jeśli zgodzimy się z takim postawieniem sprawy, musimy także zgodzić się z następnym stwierdzeniem. Otóż — moim zdaniem — zastanawianie się, czy sport zawodowy ma sens jest również irracjonalne. Czy ma sens kopanie piłki przez reprezentantów Polski? Ma — ponieważ dostają oni za to pieniądze. Dla zawodników rzecz ma niewątpliwie sens. Dostają „kadrowe”, mają fikcyjne, albo półfikcyjne, zawsze jednak wygodne prace, wyjeżdżają za granicę, na czym też zarabiają. Ich zawód to kopanie piłki, bicie przeciwników w szczękę, szybka jazda na rowerze itp. Są rentowni, przynoszą klubom czy związkom dochód, zarabiają sówicie na swoje utrzymanie.

Tak — powiedzą moi oponenci — ale dlaczego płacić się ludziom, których wysiłek jest niecelowy, nie przynosi żadnego pożytku, jest bezsensowny?

Odpowiem na to tak: a czy cyrk ma sens? Albo operetka? Czy w wyglupianiu się clownów, w pokazach na trapezie, albo w woltżerze na koniach tlewi choć odrobina sensu? Czy Baron Cygański jest choć trochę pożyteczny? Powiecie, że operetka to muzyka, a zatem kultura? Bzdura! Po pierwsze operetka nie jest żadną muzyką, po drugie istnieją tysiące miłośników operetki, których w żaden sposób nie można zaliczyć do ludzi kulturalnych.

Czy ma sens jazz? Czy ma sens gra w brydża, albo w szachy? Przecież nawet motoryzacja, której chwalebą wydaje się być Chyliński, nie ma w większości wypadków sensu. Ogromna

większość zapamiętałych marzycieli o własnym samochodzie bynajmniej nie marzy o nim dlatego, że jest zmęczona chodzeniem na piechotę. To nie dlatego ludzie chcą u nas mieć samochody, że bez nich nie mogą żyć. Marzą o nich, bo chcieliby mknąć szosa naprzód, naciskając akcelerator, żeby gwizdało, chcą zjechać z fasonem na swojej ulicy, żeby się sąsiedzi dziwili; chcą zaimponować wszystkim dziewczynom w miasteczku; chcą pojechać w lecie przed siebie i nie być niczym skrępowani, mieć swobodę poruszania się. Mit samochodu jest także głęboko irracjonalny. Przecież tylko mała część ludzi naprawdę potrzebuje samochodu: lekarze, komiwojażerowie, ludzie mieszkający daleko od miejsca pracy. Reszta chce mieć samochód po to, aby mieć samochód.

Sport zawodowy stanowi dla ludzi (kibiców) rozrywkę. Tak samo jak brydż. Lubie i jedno i drugie. I mimo wielkiej ilości deprecjonujących mnie z tego powodu wyrażań, użytych przez Chylińskiego i Górnickiego, nie uważam się przez to za człowieka mniej od nich kulturalnego. No, może troszkę mniej, ale nie dużo.

Dziwi mnie tylko, że obaj dyskutanci, zaciekle atakując sport, nie widzą, że powinni — jeśli przyjąć ich kryteria — w ten sam sposób atakować cyrk, operetkę, samochody, brydża, grę w kosci, wieczorki towarzyskie, oglądanie „Kobry” w telewizji, czytanie „Przekroju” i dziesiątki, dziesiątki innych irracjonalnych czynności, którym się z upodobaniem oddajemy.

Lecz coż by to było za życie! Muszę tu od siebie dodać, że redaktor Wiesław Górnicki ma skuter i upaja się jazdą na nim, choć sprzed domu odchodzi mu autobus popieszny, który podjeżdża tuż pod jego redakcję. Lubi też pasjami grać w kanastę, a także w kosci. Redaktor Zbigniew Chyliński marzy o samochodzie i lubi wieczorki towarzyskie. I dla mnie fakt, że oni to lubią, wystarczy, aby tego nie potępiać.

Obaj nie lubią sportu. Ale czy to jest powód, aby dorabiać do tego wszechogarniająca, kulturo-socjologiczną filozofię? Czy należy tworzyć wielką teorię o smutnym, beznadziejnym poziomie kulturalnym i umysłowym rzesz kibiców sportowych?

Niestety, niestety... Zbyt dużo poznaliśmy w latach ubiegłych wielbicieli Goethego i Beethovena, aby tak prosto oceniać te sprawy. Niemalże było wielbicielów pierożków i lewej nogi prawego obrońcy klubu „Polonia” — którzy okazali się bardzo wartościowymi ludźmi.

To nie jest takie proste państwo!

P. S. Wszystko to nie znaczy, abym stał się tubą zawodowych macherów od zawodowego sportu — boć przecież inaczej nazwał tych wszystkich instancji od sportu wyczynowego nie można. Nasz sport wyczynowy jest oczywiście olbrzymim oszustwem, ponieważ za nic w świecie nie chce się przyznać, że jest sportem zawodowym. A to jest oczywiście nawet dla dziecka. Dlatego pod przykrywką szumnych teorii o masowości wychowania fizycznego pompuje z kieszeni państwa, a więc nas wszystkich, ogromne pieniądze na różne niepotrzebne rzeczy, jać wyjadły rozmaitych nie reprezentujących żadnego poziomu reprezentacji, pensje i apanaże setek zawodowych kretynów, którzy woli sobie w nim ciepłe gniazdko — i tak dalej. Napisałem, że zawodowi sportowcy są rentowni i zarabiają na swoje istnienie. To prawda. Ale prawdą jest też, iż pracują oni również na setki rozmaitych prezesów, sekretarzy, wiceprezesów i „zasłużonych działaczy”, z których tylko mała część jest naprawdę zasłużona, potrzebna i fachowa. Pracują oni także na rozдутą organizację, sprawozdawczość, reprezentację, politykę itp. itd.

Ale to już całkiem inna historia. Gdybyśmy chcieli o niej mówić, trzeba by rozpocząć dyskusję o strukturze i organizacji naszego sportu, a nie o sensie sportu w ogóle.

Nareszcie w Moskwie. Jestem ostatnim przybyszem z kilkunastoosobowej polskiej ekipy filmowej, pracującej przy realizowanym wspólnie z wytwórnią „Mosfilm” filmem „Lenin w Polsce”. Doskonale wiedziałam, że jadę do 7-milionowego miasta, ale jednak ogrom stolicy Związku Radzieckiego podzielał na mnie szokującą. Niemal każdy z nas sądził bowiem, że zna to miasto, choćby z filmu, tygodników czy literatury rosyjskiej. Nazwy Ochotnyj Rjad, Plac Mieczny, Plac Czerwony, Kreml, ul. Gorkiego — wydają się być już znane i swoje. Jakże byłam zdziwiona, gdy stwierdziłam, że wspomniane ulice i miejsca stanowią bardzo małe skrawki śródmieścia ogromnej Moskwy.

Przez pierwsze dni czułam się w tym mieście bardzo zagubiona. Wydawało mi się ono zimne, chaotyczne i wręcz brzydkie. Być może pierwsze to wrażenie spowodowane było zimną pogodą i olbrzymią odległością między hotelami, gdzie mieszkaliśmy i wytwórnią „Mosfilm” gdzie pracowałam. Przekonałam się później, że mój sąd był krzywdzący i powierzchowny.

Praca w „Mosfilmie” trwała od 10 rano do 9 wieczór. Zabrakło więc na razie czasu na pogłębienie czy zmianę sądu o mieście, sądu o mieście, ale z biegiem dni powoli nabrała uroku nawet i codzienna podróż z hotelu „Ostankino” do wytwórni odległej o 26 km. Uprzejmy kierowca wozil nas bowiem za każdym razem innymi ulicami i jemu właściwie zawdzięczam niezłą znajomość Moskwy. Służbowe auto zmieniło się w autokar turystyczny, a szofera w doskonale poinformowanego Clacera, wygłaszającego uwagi w rodzaju: „Na lewo widzieć dworzec Ryżski, tam zaś widać GUM, teraz zaś „Dziekić Mir”, a tu mieszka nasz „gospodarz” — to ostatnie dotyczyło rezydencji Nikity Chruszczowa, mieszkającego niedaleko „Mosfilmu”.

Bardzo duże wrażenie zrobiła na mnie sama wytwórnia filmowa „Mosfilm”. Labirynt korytarzy, schodów, sal i przejść — wydawał się nie do zapamiętania. Odległości pomiędzy poszczególnymi pomieszczeniami studia filmowego były wprost olbrzymie. Z rozręzieniem wspominałam łódzką Wytwórnię Filmów Fabularnych, gdzie wszystko jest tak blisko i tak łatwo odnaleźć potrzebną osobę. Już zwykła wyprawa do bufetu w „Mosfilmie” zajmuję przynajmniej 20 minut. Inne porównania z naszą wytwórnią budziły dość sprzeczne uczucia. Odczuwałam zazdrość mijając dziesiątki drzwi, za którymi kryły się najróżniejsze wydziały i pracownie. Stanałam przed oczami widok zagęszczonych do niemożliwości klitek naszego atelier,

noszących gumne mian pracownicy, pokoi reżyserskich, pokoi produkcji. Ale jednocześnie zdumiewał mnie fakt, że przy tak ogromnym zapleczu i takiej ilości pawilónów jakie posiada „Mosfilm” — nie istnieje tu w ogóle pojęcie indywidualnej garderoby aktorskiej. I nawet aktor grający w naszym filmie niezwykle trudną rolę Lenina, wymagającą oprócz normalnej pracy aktorskiej również dużej wytrzymałości fizycznej (cały dzień w charakterystycznej piastycznej) otóż aktor ten nie ma swojego pokoju do odpoczynku.

Ogromnie zaimponowały mi radzieckie koleżanki pracujące przy naszym filmie. Opowiadały o swym 30-letnim stażu pracy w wytwórniach radzieckich, na ich oczach powstawały całe rozdziały historii filmu radzieckiego. Montażystka Pieczyje wa była stałą współpracowniczką Pudowkina. Montowała wszystkie jego filmy dźwiękowe. Charakterystorka Nina Tichomirowa pracuje już w filmie przeszło 20 lat. Między innymi brała udział w realizacji słynnego filmu Eisensteina „Aleksander Newski”. Od niej to dowiedziałam się, że owe wspaniałe zimowe sceny bitwy „Krzyżakami na pokrytym lodem jeziorze Czudzkim” kreowane były podczas piekielnego upału

ceń tychże stacji itd. Nie przypominam sobie jednak, żeby ktoś zauważył — metro moskiewskie niemal idealnie funkcjonuje, na pociąg czeka się od 1 do 3 min., doskonale działa wentylacja. W metrze nie odczuwa się największych upałów i mrozów, schody ruchome są naprawdę ruchome chociaż długość niektórych sięga do 100 m. Dlatego tym bardziej nie rozumiem dlaczego schody ruchome w warszawskim CDT lub na trasie W—Z w Warszawie są w wiecznym remoncie, radzieckie zaś chodzą bez ustanku przenosząc dziesiątki tysięcy ludzi.

Metro wraz z autobusami, trolejbusami i zepchniętymi na przedmieścia tramwajami na razie zupełnie rozwiązuje problem komunikacyjny w Moskwie. Szerokie, przelotowe ulice, pod którymi buduje się już przejścia dla pieszych, pozwalają na rozwijanie nieograniczonej szybkości samochodom nawet w samym śródmieściu. W tym mieście jazda do pracy i powrót do domu, nawet jeśli pracuje się o kilkanaście kilometrów od miejsca zamieszkania (a tak wielka jest Moskwa) — przestał być problemem.

Należę do kategorii tak zwanych kobiet gospoń.



Scena z realizowanego filmu „Lenin w Polsce”
Widzenie w więzieniu: Lenin — N. Prowotow, N. Krupska — M. Pastuchowa

bór serów, różnego rodzaju masła i pieczywa. Pilnie przyglądałam się cenom. Są one mniej więcej równe naszym (w przeliczeniu 1 rubel 2 złote). Ale już na przykład masło jest tańsze — paczka 200 gramów kosztuje od 4,5 rubla do 5,5 rubla. Tańsze również są wędliny, szynkę

wiedzi MCHAT-u — to chyba tak samo jak przyjechać do Rzymu i nie zobaczyć papię. Pierwszą więc moją prośbą do moskiewskich przyjaciół było życzenie zobaczenia spektaklu w tym teatrze. Ci jednak oświadczyli, że dzisiejszy MCHAT to „kladbiszcze”, czyli ementalz pełen starych rupiec, że szkoda wieczoru i lepiej zrobimy, idąc do Teatru Satyry. Wielu młodych intelektualistów radzieckich uważa, że dzisiejszy MCHAT jest zbyt akademicki, staroświecki, lęka się wszelkiego eksperymentu. Dlatego u młodego pokolenia MCHAT nie cieszy się najlepszą opinią.

Tak się jakoś dziwnie złożyło, że podczas pobytu w Moskwie byłam dwukrotnie w Teatrze Satyry. Za pierwszym razem trafiłam na premierę „12 krzesel” Iifa i Pietrowa. Była to adaptacja znanej dobrze i u nas świetnej książki pod tym tytułem. Ostapa Bendera grał E. Wiesnik. W sumie przedstawienie nie wydało mi się rewelacyjnym, odebrałam je jako niezłą ilustrację mądrej książki. Natomiast dużo ciekawszy wydał mi się inny spektakl. Obejrzałam grana już przeszło od roku w Moskwie sztukę Nazima Hikmeta „Miecz Damoklesa”. Sztuka ta posiada ciekawą inscenizację. Akcja jej toczy się kolejno w dwóch planach. Świetną ilustracją muzyczną kompozytora Szczedrina oraz bardzo dobre aktorstwo — wszystko to złożyło się na wyjątkowo udane przedstawienie. Reżyserował je Walentin Pluczek. Nazwisko to dobrze jest znane moskiewskim widzom, każde bowiem jego przedstawienie jest zazwyczaj dużym wydarzeniem kulturalnym i u krytyków powoduje ożywioną wymianę zdań. Krytycy zresztą są równo teatralni jak i literaccy mają ostatnio bardzo wiele do roboty i do myślenia. Pojawiają się bowiem dzieła, które nie tak łatwo zasztaflakować. Najczęściej są to utwory młodych pisarzy.

W ostatnim czasie sporo hałasu wywołała książka Grigorija Baklanowa pt. „Piędz ziemi”, która przedstawia wojnę widzianą oczyma młodego oficera, znajdującego się na małym cinku frontu. Autor nie opisuje wielkich bitew, mających wpływ na historię ostatniej wojny, pokazuje natomiast tak zwany dzień powszedni wojny, jej przerażające oblicze uwydatnione poprzez los, poprzez życie i śmierć pojedynczych ludzi, broniących małego, może nawet nieważnego i nie

rozstrzygającego odcinka frontu. Nie przypadkowo chyba Baklanowowi zarzucano „remarkizm”, wpływy książki Remarque’a — „Na zachód bez zmian”. Nie mniej gorące spory wywołał drukowany w majowym numerze „Nowego Miru” słynny już dziś poemat Twardowskiego. Czytelnicy polscy znają go z fragmentu, jaki niedawno drukowała „Polityka”. Niektórzy radzieccy krytycy mają za złe Twardowskiemu, że czyniąc rozrachunek z przeszłością jednocześnie lansuje zasadę „było — przeszło”.

Duże zainteresowanie wzbudziła wystawa znanego malarza i podróżnika Nikołaja Rericha. Lecz, niestety, gdy poszłam do Muzeum Sztuki, trafiłam już tylko na ekspozycję malarstwa W. Brytania (tak brzmi tytuł wystawy). Bardziej od eksponatów zainteresowały mnie dyskusje w sali malarstwa współczesnego. Przed każdym nowocześnie obrazem stały tłumy (dosłownie) ludzi i kłóczyły się. Chodziło oczywiście o kompozycje abstrakcyjne. Podobnie jak i u nas, z jednej strony padały okrzyki: „Co to jest?”, „Mój syn też tak potrafi, a ma 5 lat!”, „Dlaczego to się nazywa wschód słońca a nie jajka na patelni?”, również podobne były odpowiedzi, że era atomowa, malarstwo to nie fotografia, artysta ma prawo widzieć świat indywidualnie itp. Warto chyba zaznaczyć, że zwolennikami sztuki nowoczesnej z reguły byli młodzi ludzie.

Ostatni dzień w Moskwie. Zwiedzam nareszcie Kreml. Jakże się on różni od tego znanego tylko z fotografii. Wcale nie jest tak dostojny ani surowy. Właściwie to ze zdajeć znamy tylko ściany okalające Kreml oraz wieże kremlowskie i one to właśnie zdają się przytłaczać nas swą surowością. Wewnętrzne budowle Kremla składają się z kilku bardzo ładnych, pomalowanych na jasno żółty kolor lekkich i eleganckich domów oraz pięknych zabytkowych cerkwi.

Spacer Arbatem, obiad w „Arbacie” ostrąż po ormiańsku (niebo w gębie), pyszny ormiański muskat i żegnaj Moskwo. Wracamy do Polski, żeby pracować nad dalszą realizacją filmu.

HELENA NOWICKA

WSZYSTKO JEST BLISKIE

na dziedzińcu wytwórni, śnieg zaś zostają zastąpiony przez sól i naftalinę.

Siedząc w pokoju hotelu „Ostankino” długo studiowałam pięknie i plastycznie wyrysowany plan Moskwy. Jutro niedziela, dzień wolny od pracy, od czego zacząć zwiedzanie Moskwy? Trudno oprzeć się pokusie odwiedzenia sklepów (w Moskwie w niedziele wszystkie sklepy są otwarte). Nie byłabym kobietą, gdybym nie pragnęła dowiedzieć się co i ile kosztuje. Ale chciałoby się także obejrzeć i zabytki historyczne — Kreml, stare cerkwie, monastypy i muzea. Jąde metrem i myślę, jak wiele u nas w swoim czasie pisano na temat radzieckiej kolei podziemnej. Do 1956 roku zachwycono się przepychem i bogactwem dekoracji poszczególnych stacji i korytarzy. Po 1956 roku kpiwano z marmurów i zło-

Wole oglądać sklepy spożywcze i gospodarstwa domowego, niż odzieżowe lub tekstylne. Z nabożeństwem niemal chodziłam, po jednym z większych, sklepie spożywczym na ul. Gorkiego. Sklepek ten, założony w połowie XIX wieku, był ongiś własnością kupca Jelisieja i choć teraz nazywa się „Gastronom nr 1”, moskwiectwo powiadają, że „Jda kupować do Jelisieja”. Przy oglądaniu stoiska z rybami miałam wrażenie, że przypatruje się ilustracjom do „Fomy Gordiejewa”. „Rodziny Artamonowych” czy innych „kupieckich” powieści Gorkiego. Jakże ryby! Siewriuga, bieleługa, kietka (gatunek łososia) wędzone na gorąco i na zimno w cenie od 40 do 55 rubli za kilogram. Dziesiątki rodzajów rybnych konserw i kilkanaście gatunków najróżniejszych śledzi. Podobne emocje przeżywałam mijając stoiska z nabiałem i pieczywem — jakże tu duży wy-

placiłam po 2,70 rubla za 100 gramów. Cena wołowiny waha się od 12 do 15 rubli za kilogram. Warto zaznaczyć, że mięsa i wędlin, jak również nabiału jest wbród. Bardzo drogie są w porównaniu z innymi artykułami słodycze. Cena ich kształtuje się w porównaniu z naszymi cenami niemal 1:1. Zaskakujące natomiast są ceny artykułów przemysłowych. Telewizor można tu nabyć już za 850 rubli, elektryczna froterka kosztuje 240 rubli, a robot kuchenny wykonujący dziesiątki czynności — 850 rubli.

Wiadomość tylko dla kobiet: wody kwiatowe radzieckie, które zalegają nasze komisy i kosztują po 40 zł za buteleczkę, w Związku Radzieckim kosztują 4 lub 5 rubli i nie są tu wcale uważane za najlepsze.

Być w Moskwie i nie od-



Plac Puszkina

Łódź 1960

SKARBY i NIE SKARBY

Literatura według Kufki, jest powietrzem, którym się oddycha dopóki się musi oddychać, nie trzeba być wielkim pisarzem, żeby tak powiedzieć, każdy zawód spełnia podobną rolę w życiu swoich „wyznawców” każde hobby jest takim powietrzem. Dla Anatola Gupienicy tym powietrzem jest przede wszystkim numizmatyka, nie tylko numizmatyka, ale wszelkie zbieractwo. Służbowo Anatol Gupieniec jest kustoszem działu numizmatyki w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym w Łodzi, prywatnie... należy do nielicz-

nego klanu „zbieraczy” w Polsce takich jak Borkowski w Krośniewicach, i Przytkowski w Jędrzejowie. Jest także... mężem żony, która ma pokrewny zawód i te same zamiłowania. W muzeum pracuje od lat dwunastu. Najpierw rozmawiamy o monetach, z panem Anatolem nie sposób pominąć tego tematu. Zaraz po wojnie muzeum posiadało zaledwie kilka monet, dziesięć albo dwanaście, obecnie szesnaście tysięcy, w tym ponad sześćdziesiąt „skarbów” (monet z metryką znalezienia), szesnaście wczesnośredniowiecznych, dwa skarby o sławie ogólnoeuropejskiej, a mianowicie, skarb monet arabskich (dirchemów) z pierwszej połowy X wieku, znaleziony w Białostockiem (we wsi Kluków), oraz skarb monet z czasów najazdu Brzetysława na Polskę.

100 dirchemów można było kupić około X wieku w przybliżeniu 12 koni lub 25 krów lub 250 baranów. Cena dorosłego słowiańskiego niewolnika na rynku arabskim wyniosła około 300 dirchemów pełnej wagi. Był to więc w swoim czasie istotnie duży skarb. Lecz w naszym wypadku chodzi o „inne wartości, o skarb „nieprzeliczonej wagi historycznej”.

Muzeum w zasadzie interesuje się monetami do wieku XIII. W praktyce jednak zbiory sięgają do czasów dzisiejszych. Anatol Gupieniec żyje myślą zorganizowania wystawy „Tysiąc lat monety polskiej”. To by była ciekawa wystawa. Nie tylko dla tych którzy interesują się numizmatyką. Monety potrafią dużo opowiedzieć. Rejestrują każde wydarzenie. Niemal każde drgnięcie historii jest tutaj zapisane. Wojny, czasy pokoju, najazdy, kryzysy. Monety odtwarzają epoki równie wiernie jak kroniki, odtwarzają przemijanie epok, historie ogląda się jak w kalejdoskopie. Wystawa byłaby ciekawym wydarzeniem w Łodzi! Czy dojdzie do jej otwarcia. Czy odpowiednio czynnik przeczniczą na ten cel dotacje pieniężne? W detychczasowym bilansie budżetu z jednej strony zapal organizatorów, a z drugiej... dostojną obojętnością warszawskich resortów.

Gupieniec pasjonuje się nie tylko monetami. Mieszkanie państwa Gupieniców przypomina małe muzeum, ściany są oblepione książkami, książki to jeszcze nie wszystko, gdzie nie ma książek, stoją, leżą, wiszą różne drobiazgi, talerze, łyżki, rzeźby, kafle, monety. Pan Anatol pokazuje nam najstarszą „książkę” jaką posiada w swych zbiorach. Jest to cegielka, „rarytas”, rachunek sprzed trzech tysięcy lat za wykonanie drzwi do świątyni, po odcyfrowaniu pisma okazało się, że uczeń nie wiedzieli o istnieniu tej świątyni, oglądamy talerze z serwisu Katarzyny II, Lubomirskich, łyżki z XVII i XVIII wieku, pas rycerski, kule od rzymskiej procy, karafkę rzymską z II wieku, czaszki, statuetki, przedmioty, które pokazują świat w jego przemijaniu, prawdziwe, uroku, które same w sobie są historią, częścią historii, baśnią, legendą, opowieścią. Jakże łatwo przy pomocy paru przedmiotów ożywić przedmiot, opisać w skrócie jakąś epokę, wskrzesić przeszłość, łatwo



Pani Gupieniecowa z zawodu i zamiłowania podziela hobby swojego męża



„Książka” z 1916 r., proklamacja generalnego gubernatora Kuka

to oczywiście temu, kto się na tym zna. Jest przecież siła, która ożywia martwe przedmioty, siłą tą jest wiedza.

Co za fascynujące odwiedźmy! Ale te „skarby” i „nie skarby” posiadają drugą historię, historię nabycia, każdego przedmiot to również osobne zdarzenie, inna przygoda. To hobby jest kosztowne, trzeba wielu wyrzeczeń, aby zdobyć na pozór nieciekawą talerz czy dzban. Zdarza się, że państwo Gupieniecowie idą po tak zwane „zakupy”. Wieczorem spotykają się w domu i za-

zamiast zaplanowanych i koniecznych sprawunków żona czy mąż przynosi w teczkach renesansowy kafel. Czy może być miłszy powód do małżeńskich nieporozumień?

Ciekawa rzecz. Każdy z rodziny „zbieraczy” powiada z melancholijną nutką, że jest „ostatni” lub jeden z „ostatnich” w Polsce. Wydaje mi się, że w tym jednym wypadku pan Gupieniec nie ma racji.

TADEUSZ PAPIER

71ceciat
WACŁAW BILIŃSKI



LEOPOLD BECK

Nie jestem lopedevegologiem

Felieton niby teatralny

Nie wszystko co stare jest równocześnie klasyczne — w znaczeniu doskonałości. Może było — w swoim czasie i dla ludzi tego czasu. W przypadku „Młyna” Lope de Vegi trudno by widzieć coś na ten temat powiedzieć, albowiem spektakl Teatru Powszechnego nie budzi dreszczów emocji, nie skłania do kontemplacji, ba — nie wywołuje nawet specjalnego sprzeciwu.

— Wiem, proszę pana — powiedziałem do dyrektora teatru — że historia nie zna wielu dramaturgów rangi Lope de Vegi, że to złoty wiek dramatu, a przede wszystkim komedii hiszpańskiej. Nie jestem — jakby to powiedzieć, żeby nie obra-

zić lingwistów — lopedevegologiem. Wszyscy wiedzą, że jest ich w Polsce raptem sto tysięcy. Ale — my naród nieuczony. Jeśli złoty wiek, jeśli światowy teatr, jeśli niektóre tyrady infanty, Prospera czy też księżniczki Celię są, jak pan zapewnia, perełkami poezji scenicznej, to proszę pana, albo my jesteśmy głusi, albo spektakl jest niemy.

— Jak to niemy? Przecież przyzna pan, że aktorzy mówią poprawnie wierszem!

— Nawet poprawność każdego detalu nie daje interesującej całości, najwyższej syntezy poprawności. A komu ona jest potrzebna?

— Może na przykład aktorom. Przecież praca nad taką sztuką jak „Młyn” — pod kierunkiem dobrego reżysera — wzbogaca warsztat o całą epokę i to wielką — teatru światowego!

— Dydaktyka dla aktorów — owszem. Ale co to obchodzi widzów? Gdyby „Młyn”

w wydaniu Teatru Powszechnego i reżysera Maryny Broniewskiej wzbogacił w jakiś sposób doświadczenie widza o całą epokę, no, krakowskim targiem niech będzie o ćwierć epoki, gdyby oczarował blaskiem wielkiej poezji scenicznej, gdyby był demonstracją interesujących charakterów, wielkich namiętności i śmieszności ludzkich, gdyby atmosfera zamierzona na scenie, naprawdę ogarnęła widownię, gdyby rutynowany widz mógł odczytać jakąś koncepcję przedstawienia, gdyby...

— Czy każdy spektakl musi być arcydziełem?

— Nie musi, bo nie może być. Ileż to można wyliczyć arcydzieł inscenizacyjno-reżyserkich? Co innego arcydzieło i co innego — przedłużenie szkoły aktorskiej, a przy tym niezbyt interesujące. Przepych kostiumów nie zastąpi braku inwencji realizatorskiej. Symetria sceny i ruchów aktorów, wynikająca z „samoobsługowych” — czyli przez osoby dramatu obsługiwanych — trzech kotar z lewej strony, z prawej i po środku zaciążyła na budowie spektaklu. A jest to jedyny pomysł inscenizacyjny, który zauważyłem. Mam wrażenie, że „dźwięki natury” (pod względem płodności dramatycznej) i feniksowi geniuszów — Lope de Vega — stała się krzywdą. Ale, jak powiedziano, nie jestem lopedevegologiem...

— Przesada!
— Przesadzam jak zawsze. Ale przesada w druku jest tym, co podniesiony głos w przemówieniu. Spokojniej więc nad sprawą rozmyślając, przyznaję, że w „Młynie” nie brak nawet i bardzo interesującego aktorstwa.

— Mianowicie.
— Jest kilka przypadków. Ale weźmy na przykład Feliksa Zukowskiego. Jego król ma koncepcję, format, i byłby zupełnie na miejscu w „Don Carlosie”. Ale tu w „Młynie” nie chodzi o Filipa lecz o filuta, aczkolwiek filuta w masce majestatu. Po stać z schillerowskiego dramatu, tam interesująca i podziwu godna, zablakowała się, wbrew logice tekstu, do komedii Lope de Vegi. Aktor padł ofiarą braku inwencji inscenizatorsko-reżyserkiej. Poprawność — do zniesienia w sztukach, których goli tekst działa sugestywnie na widza, nie jest do przyjęcia w komedii o bądź co bądź archaicznym tekście. Realizacja sceniczna „Młyna” powinna być fajwerkiem, a nie pokazem poprawności. Za to, że tak się właśnie stało, nie ponoszą winy aktorzy, lecz realizator.

W tym momencie dyrektor wstał, potrząsnął swoją — dajmy na to — lwią grzywą i zawołał rzeczowo:

— „Płacić”. Ale, jak to się dzieje od czasów renesansu, aż po dzień dzisiejszy — kelnerka nie zjawia się. Zmuszony do czekania



Celia (Aliecia Knast) i Prospero (Leon Niemczyk)

dyrektor odezwał się spokojnie, z nienaganną dykcją:

— Młody człowieku, najwyższy czas, by wziął się pan do jakiejś uczciwej pracy!

I wyszedł, znowu nie zapłaciwszy za kawę.

Teatr Powszechny w Łodzi, dnia 5. VI. 1960 r. premiera prasowa komedii „Młyn” Lope de Vegi, przekład Juliusza Żulawskiego. Inszeniacja i reżyseria: Maryna Broniewska, scenografia: Andrzej Sadowski, muzyka: Wawrzyniec Żulawski.

str. 4 **odpisy**

NADZIEJA

KRZYSZTOF
POGORZELEC

Sceneria jak z rzewnego oledruku, albo krajoznawczej pocztówki. Jest wszystko i nawet w dobrym gatunku: urwisty brzeg Wisły, wzgórza Tumskie, monarsze groby, średniowieczne bazyliki i dostojna cizsa. PŁOCK.

MÓGŁE BYĆ LODZIA

Mieszkańcy Plocka są nieufni, nie mogą strawić do tej pory poprzedniej wizyty dziennikarza.

— Przyjechał, pogadał niby to serdecznie, a potem obsmarował i pośmiewisko zrobił — mówią niektórzy, a co bardziej krewcy plockczanie zatrząskują po prostu drzwiami przed dziennikarskim nosem.

Rzeczywiście — Wojciech Giełżyński z „Dookoła Świata” potężnie narozrabiał. W swoim reportażu z Plocka stwierdził ni mniej ni więcej, że w tym miasteczku wszystko było i jest na wyrost: skromne koło naukowe mianuje się zaraz Towarzystwem, podtatuał panowie z Klubu Młodej Inteligencji roją sny o potędze i nie tyle chcą zbawić siebie, swoje 37-tysięczne miasto — co kraj, świat, kto wie może nawet przy okazji kosmos?

— Wszystko, panie, jest akurat na odwrót — powiedział do mnie stary, plocki wyjadacz. I z dozą melancholii dodał: — gdzie nam się pchać na afisz...

Czarne, jednokonne dryndule, leniwa jak smoła sjeła, jeżeli nawet trafi się kilka samochodów „w kupie” to tylko przed sądem.

A przecież — wprowadzie dawno temu — Plock miał wielką szansę. Równie sto lat temu. Wtedy właśnie grupa obcych przemysłowców doszła do wniosku, że Plock jest wymarzoną miejscem dla zamstalowania zakładów włókienniczych.

Tylko, że prześwietni rajcowie miejsca pokreśli z niezadowolonymi nosami. Bo to i fabryczne dymy, krajozbiór stał zaciemni, hałas maszyn...

Businessmeni zeszli więc z kwitkiem z wiślanej skarpy i mogli dzięki temu zrodzić się bawelniana Łódź.

A w Plocku?

Było radal sielsko-anielsko, krajoznawczo-urlopowo-turystycznie. Poza tym jeszcze darto pierze. Na biały puch, ciepła białdy, leciecie jak piórko poduchy. Podobno nawet do Ameryki wysyłali. Niektórzy robili wcale dobre interesy.

DZIŚ: nie wiele osób pamięta o „pierzowych” tradycjach, Cegielnia, fabryka maszyn rolniczych, kilka warsztatów rzemieślniczych oraz sieć placówek handlowych — to cały gospodarczy majątek Plocka, „majątek”, który niestety nie rozwiązuje problemu. W mieście spora gromada ludzi poszukuje pracy.

— Schodzimy, panie, na psy — zwierzył mi się mistrz cechu kowalskiego, pan Uklejewski...

Już nawet okolicznym wioskom i osadom przestaje być na dobrą sprawę potrzebni. Miał rację Wojciech Giełżyński z „Dookoła Świata” mówiąc: „Fakty są nieubłagane. Małe miasta i miasteczka bez przemysłu skazane są na uwiad. Nie tylko w Polsce, ale na całym świecie obserwuje się proces dezurbanizacji miasteczek, chłon zamiast jeździć na jarmark do Peimna, Plocka czy Szprotawy, ku-

puje i sprzedaje w GS, przyjeżdża do niego kino objazdowe i objazdowy teatr. A kiedy chłop chce trochę świata obejrzeć to Samopomoc Chłopska lub PKS zawiezie go nawet do samej Warszawy. Miasteczko traci więc swoją funkcję towarowo-kulturalnej obsługi najbliższej okolicy. Apele o społeczne inicjatywy mogą niekiedy wyrwać miasteczko z gnuśnej apatii, lecz aktywizacja na ogół tylko ma szansę trwałości wtedy, gdy opiera się o produkcję”.

OSTATNIA SZANSA?

Być może. Inżynierowie Henryk Kłosiński i Jerzy Janiak z plockiej „Petrobudowy” są nawet o tym święcie przekonani.

— Już nie odpust będzie ścigał ludzi. Magnesem stanie się przemysł, CHEMIA.

Na razie jednak są to zaledwie schematy rysunków i kreski planów technicznych, a tak na prawdę — dopiero rozwala się jakieś stare baraki, porządkuje i niweluje liczący 600 hektar-

ten ładunek optymizmu i nadziei oraz zamierzeń ukryty w biurkach i szafach zespołu „Petrobudowy”, stał się własnością plockiego ogółu. Ludzie z ulicy Tumskiej, Wieczorka, Bielskiej, Nowolki nie wiedzą o nich zbyt wiele, a w „górnym rejonie” tego 37-tysięcznego światka sytuacja wygląda trochę tak, jak przed... stu laty. Wprawdzie mówi się o rozszerzeniu działalności miejscowego NOT, który ma się podobno zająć szkoleniem przyszłej kadry fachowców, coś niecoś slychać o brygadach młodzieżowych ZMS — jednak „w sumie” raczej cisza. „Panienki z okienka, grube prze-kupy, różni „naukowcy” z gimnazjalnym wykształceniem, „miłośnicy zabytków” i dobrowolni stróżowie kultury — wspólnym frontem stoja na sztorc. Krajobraz — mówią, zszpeca się, dymy zasnują błękit nieboskłonu. Piaski ćwierkać przestaną. Cichosć miejsce dostojnych zakłócona będzie. Smrodliwe ścieki w tę Matkę Naszą Wisłę, spłyną. Niech już lepiej, mówią, jak dawniej Plock z zabytków jeno słynie, z grobow-



Foto: Uchymiak

róbki na kauczuk, włókna, masy plastyczne. Wystarczy?

ZABI SKOK

Zycie toczy się jak w normalnym miasteczku. Cóż z tego, że na kółkach? Oswoili się już z myślą, że najbliższe trzy lata spędzą w swoich wozach-domach. Obok nich pierzają się stopy rur z katowickiej „Ferrum”, z których każda może być wygodnym schronieniem dla dorosłego człowieka. Zawartość magazynów — sprzęt oraz instalacje, na których z łatwością można odczytać nazwy fabryk niemieckich, czeskosłowackich i polskich. Przypomina to, że budowa ma charakter międzynarodowy...

Obie „nitki” rur spoczywają na drewnianych suwnicach. Gdzieś w polu pracuje długonoga koparka, 42 metry wykopu i żelazna żyła wędruje do ziemi, a maszyna robi swój następny żabi skok, by utworzyć drogę pod nowy odcinek ropociągu.

Trudna robota. Mimo, że żeby koparkę grzązi ziemię jak smakowity tort. Spawanie odcinków rur to cały skomplikowany proces. „Nitka” musi przecież wytrzymać ogromne ciśnienie, będzie biegła przez lasy i pola, przejdzie pod nurtami rzek, w różnych warunkach geologicznych, musi dobrze spełniać swoją funkcję nftowej, żywiodajnej żyły. Stąd specjalna aparatura kontrolno-pomiarowa, do której zaprzęgnięto izotopy, izolacja chroniąca przed rdzą, wodami podskórnymi. Prąd elektryczny, zatrudniony w charakterze obrony przed erozją...

Wiatr hula po przestronnym polu. Fufajki, rowery w stojakach, rzadziej motocykle, roztopiane błoto i czarna kawa w porze obładowej — normalne akcesoria budowy. Po godzinach ludzkich strumień rozdziela się, kieruje bądź do wozów, to znów w stronę betonowej szosy. Jęda do domów do miasta, o którym ktoś napisał, że jest stare jak Polska. A w kieszeniach wiozą nadzieje, nadzieje, kto ra pachnie ropa.

pachnąca

ROPA



Foto: J. Glowacki

row teren, biorąc na oko — akurat tyle co obecna powierzchnia całego Plocka!

Ale w mieście tym — od czasu do czasu — zdarzają się wizjonerzy i to nie koniecznie spod znaku białych kwefłów sióstr „od mateczki”. Felicji Kozłowskiej. W ich oczach zwoje przezroczystej kalki technicznej, to realia, o których inż. Pikulski mówi tak jakby już dziś były faktem dokonanym. To znaczy — przeróbka 6 milionów ton ropy rocznie, zatrudnienie w granicach 7 tys. robotników.

Wszystko to ma się dopiero urodzić. Gdzieś w 1970, a najpóźniej 1975 r. Bo Plock to w niedalekiej przyszłości nie tylko ropa natłowa, ale także, a może nawet przede wszystkim, żmudna lecz cenna i potrzebna praca nad ubocznymi produktami rafinacji. Chemia, prosze państwa, z tych nieco cuchnących dla przeciętnego śmiertelnika rzeczy, potrafi zrobić prawdziwe cuda: pachnące, dodające piękności człowiekowi, pomocne dla jego nadzyszpnie tego zdrowia, środki ratunku i zbytku.

Nie można powiedzieć, że

ców Bolesława Krzywostego i Władysława Hermana”.

To znów Giełżyński...

„CYRK”

Napisałem — rafineria i zakłady petrochemiczne to dla Plocka przedostatnia szansa. Tak, bo jest jeszcze inna.

Licznik „Warszawy” wystukiwał kilometry. Betonowe pasmo szosy, potem jakieś wyboje i plaskie jak stół pole. Stoja tam wozy w równych szeregach, jak gigantyczny cygański tabor, albo wielki cyrk. Tylko, że z szaroniebieskich wozów nie dochodzą porykiwania drapieżników i nikt nie próbuje odgadnąć „z ręki” przyszłości, ani losów przybywców. Nim jednak wozy do my Warszawskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Łądowo-Wodno-Inżynierskiego rozbiły swój obóz toczyły się dyskusje.

Polska potrzebuje nafty, wysokowydajnego, bogatego źródła dającego nie setki ani tysiące ton paliwa, lecz miliony. Podkarpacie oraz inne tereny ropodajne przynioszą nam rocznie zaledwie 200 tys. ton. Pieniądzy na

dalsze poszukiwania mitycznego „basenu” z ropą, który jakoby gdzieś leży w Polsce — brak. Zapotrzebowanie rośnie w błyskawicznym tempie i zbliża się do granicy 2,5 miliona ton. Pięć — wołają nieustannie silniki samochodów, pięć — krzyczą gardziele samolotów, pięć — woła kraj.

Obliczono, że pełne zaspokojenie potrzeb na paliwo sposobami tradycyjnymi, a więc przy pomocy cystern kolejowych, nawet z najbliższych ośrodków ropodajnych Związku Radzieckiego — zwiększyłoby koszty dostawy ropy blisko 4-krotnie, a poza tym, tego rodzaju pomysł jest w obecnych warunkach nie do zrealizowania. Żadna z istniejących u nas w tej chwili dróg żelaznych nie wytrzymałaby niesamowitego tłoku cystern. Blisko 800 pociągów na dobę trzeba by przepchnąć przez to gardło. Tak, tak sznurek wagonów długości 52 kilometrów! Niepodobnie stwo...

PIPELINE

Inaczej — rurociąg. To angielskie słowo jest dla jednych przekleństwem, a innym niesie bogactwo. „Stan-

dard Oil” dzięki swoim metalowym maczkom zapuszczonym wcześniej od innych konkurentów w piaski pustyni Bliskiego Wschodu zbudował swoje naftowe królestwo...

Pipeline — oznaczało dla nas ROZWIĄZANIE.

Inż. Waśkowski długo młtmaczył kresiacz linie na wymyślonej mapie.

— Wystartuje z łuku Wólgi, aby spod Kujbyszewa, przez Mozyrz dobrać pod Plock, zostawi tam część swojego płynnego ładunku do przeróbki, by pobiec dalej — do Berlina i czeskiej Pragi. Razem — 4 tys. kilometrów.

Jeszcze w Plocku rozmawiałem na ten temat z fachowcami „Petrobudowy”. Wylizali: wykorzystujemy nasze geopolityczne położenie. Stajemy się „stacją przesiadkową”, dla dwóch wielkich potęg przemysłowych — Związku Radzieckiego i NRD. Za każdą tonę ropy przepuszczoną przez „wielką nitkę” dostaniemy pieniądze. Ponadto — ropa, to nowa szansa dla polskiego przemysłu syntetycznego, to możliwości prze-

odqtosy str. 5

„Proszę o podłogę“ czyli żargon polskiej emigracji

Dajpyski • Ile lat stara jest wasza córka? • Trzymaj dziap • Siapy i halzy • Dziampnąć przez fens na strytę • U nos kobiety dyciów nie dygują • Krzesło decyduje inaczej

Nie jestem językoznawcą i to co tutaj napiszę nie może być w żadnym wypadku uważane za próbę szerszego omówienia zmian zachodzących w mowie potocznej, w słownictwie dnia powszedniego Polonii Amerykańskiej. Przedmiot jest zbyt ogromny, by go omówić w ramach jednego reportażu, brak również jakichkolwiek źródeł, które by można przyjąć za podstawę poważniejszych rozważań. Chcę więc tylko dać polskiemu czytelnikowi, jeśli nie zupełnie, to przynajmniej częściowe wyobrażenie o tym jak mówią, jak z sobą rozmawiają, jak się porozumiewają Polacy amerykańscy, jakiego języka używa Polonia na codzień i na święto.

Tych wszystkich przeinaczeń, przyswojeń, makaronizmów nie spisałbym na wolowej skórze — gdybym nawet próbował — zmieniają się one zresztą zależnie od regionu — inne są wyrażenia i spolszczenia w Teksas, a inne w Wisconsin — zależą to od wpływu poważnie się różniącego języka angielskiego w samych Stanach ale i od części Polski z której taki miejscowy polonus przyjechał. Inaczej przyswajają sobie angielskie słowa Góral spod Poronina, a inaczej Kaszub z Pucka, inaczej Kurpa a inaczej chłop z okolic Malogoszcy czy Majdanu Sieniawskiego. Gwara polonijna nie jest więc jednolita, jest bardzo różna i nawet znawca przedmiotu musi uważnie słuchać, aby zrozumieć o co rzecz idzie. Terminologia zawodowa, zwroty techniczne, agrarne, rzemieślnicze są bardzo szybko polszczone i bardzo szybko przyswajane przez pracujących w danym zawodzie Polaków, ale jednocześnie nie są rozumiane przez ich otoczenie, nieraz przez ich własne żony. Ich własne dzieci i sąsiadów. Żyją jest rzeczą żywą, rozrasta się w nowych warunkach, przyswajają sobie nieustannie rzeczy nowe. Nasi krajowi purysci wysławiający fakt, że Polonia nazywa tramwaj „strykterą“ zapominają, że „nasz“ tramwaj to nic innego jak czyste angielskie słowo „tramway“ — cała różnica tylko w tym, że purysci krajowi używają słowa o pochodzeniu brytyjskim, a Polonia Amerykańska pożyczyla sobie wyrazu z gwary amerykańskiej.

Podobnie jest z takim słowem jak „gieszlin“ którego Polonia używa na określenie paliwa do samochodów. W Polsce zamiast „gieszlin“ mówią się benzyna — słowo w Ameryce przestarzałe — podobnie jak Polonia zamieszkuje w Australii czy w pewnych okolicach wysp brytyjskich używa cudaczego słowa „petrol“. Ponieważ Amerykanie używają na określenie benzyny wysoko-oktanowej słowa „gasoline“ czyli „gazolina“, Polonia spolszczyła to słowo do „gieszlin“ lub po prostu „giesz“. Gaz świetlny to oczywiście także „giesz“.

Nie dziwi mnie to zresztą, Polonia to przecież chłop i to głównie chłop z najuboższych okolic Podkarpacia, z powiatów gorlickie i wojszczyński, z wsi i wioścyn województw: rzeszowskiego, krakowskiego i z drugiego krańca Polski — z białostockiego. Najmniej jest Polonii z okolic Łodzi. W tym czasie gdy bramy Ameryki stały otworem dla masowej emigracji, a jedynym dokumentem potrzebnym przy wjeździe był bilet okrętowy, Łódź rozrastała się i zatrudniała wszystkie zbędne na wsi ręce robocze. Dlatego miałby się chłop z okolic Brzezina, Piotrkowa, Belsztowa, Ozorkowa i Szadku

więcej rozwydżona niż jego własna córka.

Podłogiem niechęci w stosunku do najnowszej emigracji jest pospolita zazdrość. Starzy pamiętają dawne upokorzenia, prośby o pracę, niemożność dostania lepszego zajęcia i robotę przy najgorszym — „tam gdzie pies nie chce, Polak musi“ — powiada przecież stare polonijne przysłowie. Nowa emigracja przyjeżdża — zdaniem starej — na gotowe, dochodzi do wszystkiego bez walki, bez upokorzeń. To złości i do wsieklności doprowadza starych, którzy sądzą, że i najnowsza emigracja powinna trochę pocierpieć i „biedę się najęść“.

Dawny emigrant pracujący od lat trzydziestu przy montażu samochodów złości się i wścieka, że nowoprzybyły dostał zajęcie elektrotechnika czy kreślarskiego, że jego zajęcie jest lepsze, płaca wyższa. Wielokrotnie starzy uważają że nowoprzybyły zabiera im pracę, ich synom możliwość awansu. Cały ten konflikt ma więc podłoże raczej ekonomiczne — starzy uważają, że najnowsza emigracja powinna zaczynać od nowa, a najlepiej by było gdyby sobie poszła, gdzie raki zimują. Na polonijnej górze niechęć powoduje materializm, groszorbstwo i sobokostwo „dypisów“. Rzeczywiście w zbiorce funduszy na pomoc sierotom w Polsce, chorym inwalidom w Anglii, nawet na budowę nowego kościoła w polskiej dzielnicy nie można liczyć na „dypisów“, — żadnych „datków“ nie składają. Dzieci „dypisów“ wyznają sobie najłatwiej, oni sami nie osiedlają się w starodawnych polskich dzielnicach lecz kupują domy w nowych amerykańskich, mieszanych i szybko gubią się w amerykańskim „melting pot“. To wszystko ludzi dzieli. Jedność i zgoda Polonii kończy się na wielkim gadaniu, na szumnych frazesach o jej potrzebie, na wskazywaniu jak pięknie i zgodnie żyją Żydzi, Ormianie, Grecy i Irlandczycy. Jakoś Polakom najciężiej widać porozumieć się z sobą, znaleźć wspólny język.

Wielokrotnie emigracja z jednej okolicy, z jednego zaboru jechała do pewnego miasta i tam się osiedlała. Milwaukee jest miastem, w którym mieszkają głównie Polonijacy — czyli „Kaszuby“, w Cleveland rejs znów wodzą „Rusko-poloki“. Z biegiem lat, z powstaniem własnego niepodległego państwa, przez ożenki i starość, przez nabycie miejscowej ogłady ustąpił i konflikt. Na pewno dzisiaj nie doszłoby już do bójk między „Rusko-polokami“ i „Galicyjokami“, „od Franca-Josefa“ jak to bywało za dawnych czasów. Ale jak się rzekło niechęć trwa, nieufność nie wygasa.

Istnieje jeszcze czwarta grupa polonijna — to ta najmłodsza emigracja po ostatniej wojnie światowej. W stosunku do tej nowej emigracji panuje zgodny front wrogości i niechęci starszych. „Rusko-poloki“ uważa się za coś lepszego od „Galicyjoka“, a ten z pogardą patrzy na „ciemnego kolonijna“ z Kurpiów — ale obydwaj są zgodni że „dypisy“ to wielkie gałganstwo, to ludzie nie wari. W stosunku do najmłodszej emigracji panuje zgodna i nienawistna pogarda, niedowierzanie. Nawet wielcy przywódcy prawnicy, którzy przyczynili się do sprowadzenia tej najnowszej grupy emigracyjnej — nie odwierają jej. „Dypisy“ — bo tak Polonia nazywa emigrację powojenną, są przedmiotem albo zazdrości, albo pogardy. To słowo „dypis“ pochodzi od skrótu angielskiego wyrażenia „displaced person“ jskiego używano w epce UNRFA dla Polaków w Niemczech Zachodnich. W Ameryce ten długi i nieporęczny zwrot językowy skrócono i tak powstał „dypis“ a w liczbie mnogiej „dypisy“. Dziewczyna z najnowszej emigracji nie jest jednak nazywana „dypiska“, jak się pewnie czytelnik spodziewa, lecz „dajpuska“. O ile na „dypisów“ patrzy stary emigrant z nieufnością i zazdrością to na „dajpuski“ patrzy ze złości — przeraża go, że dziewczyna przybyła z Europy pochodząca z jego rodzinnej wsi używa szminki i pudru, a jest

może do tysiąca słów jakimi się posługiwał gdzieś koło Błażowa czy Szymborku. Ci najgorzej wyposażeni w zapas polskich słów, najmniej wykształceni przyjęli z miejsca największy zapas, najcięższy balast wyrazów angielskich.

Inteligencja czy półinteligencja polska władająca angielskim płynnie bardzo rzadko kaleczy język ojczysty. Tu jednak zdarza się rzecz innego rodzaju — wiele zwrotów angielskich zostaje przetłumaczonych żywcem na angielski i powstają z tego takie wyrażenia jak np. pytanie: „Ile lat STARA jest wasza córka?“ — zamiast pytania ile ma wasza córka lat. Jest to niewolnicze powtórzenie angielskiego „twenty years old“. Inny przykład to: „Idź do piekła“. Po polsku to właściwie nic nie znaczy, brzmi głupio i śmiesznie, po angielsku jest to mocne wyrażenie. Kłątwa wcale dosadna. Powiedzieć komuś „Go to hell“ to wcale kaprańskie oburzenie. A swoją drogą ciekawe że pierwsza rzeczą jakiej się Polak przybyły tutaj uczy, są przekleństwa. Jakimiś nieznanymi drogami, prawem osmozy z niewolniczej przenikają do polskich domów słowa i zdania których by nikt nie powtórzył po polsku, ale używa z rozkoszą, z wzięciem i wdziękiem po angielsku. Znam rodziny polskie, które patrzą z przerażeniem na człowieka używającego słowa „psitakrew“, ale sami nie potrafia skłonić zdania bez wplecenia kilku angielskich „sukinsynów“.

Po przekleństwach, które cudzoziemiec przyswaja sobie najszybciej przychodzi kolej na wyrazy związane z jego zajęciem. Tu słuchając pogawędki polonijnych dowiedzieliśmy się, że nasz rodak „trzymaj dziap“ w zakładach samochodowych Chevroleta czy w reżni Swifta. „Trzymaj dziap“, to po prostu mieć zajęcie, pracę „trzymać“, to z angielskiego „hold a job“, „dziap“ jest właśnie spolszczeniem słowa job. Jeden z Polaków pracujący w stolarni wyrabia „baksy“, inny w fabryce samochodowej pracuje na „lajnie“. Znaczący to że jeden z nich wyrabia pudła (boxes), a drugi pracuje przy obsłudze konwojera (line).

Fabryka to zawsze „siap“ — czyli „shop“, domy to zawsze „halzy“, samochód to „kara“, łańcuch to „ciej“

(chain), puszka do konserw — „kiena“, trotuar — „sajdłok“ (sidewalk), zarobek — „pejda“, cena — „prajza“, buty gumowe — „rubberowe buce“ (rubber boots), „dziampnąć przez fens na strytę“ to przeskoczyć przez płot na ulicę, „pajtować się giezpajpa z bojsami“ to walczyć gazurką z chłopakami, „Iść do sturu“ to pójść do sklepu, a powiedzenie jakim powitała Warszawę pewna chicagowska pani, że „u nos to kobiety dyciów nie dygują“ znaczy po prostu, że u nas kobiety rowów nie kopią.

Wpływ angielskiego sięga nawet na nazwy świąt i świętych pańskich. Boże Narodzenie to oczywiście „Krysmus“, a święty Mikołaj to „Sentydos“, Nowy Rok to ma się rozumieć „Niuji“ („na niujir zawsze przydrejuje moja córka i sonynio, na dyner mamy turka i na afenium tancujemy w bejsmencie — opowiadał mi niedawno mój sąsiad. Chciał mi w ten sposób powiedzieć, że na Nowy Rok przyjeżdża zawsze jego córka z zięciem, na obiad mają indyka i potem tańczą w piwnicy).

„Na fort działają to my owejs arawujemy do naszej kotodź nad lejkiem, mój stary jeździ boltem po lejku i kecuje ryby: pajkt, karpie, traty a dzieci sobie swymują bliżej szor“ — to jeden z przykładów polonijnej zwary — której, założył się nikt z was nie rozumie. Tłumaczenie tego zdania: „Na czwartego lipca (dzień Niepodległości Stanów, wielkie święto narodowe w USA) to my zawsze jedziemy do naszej chatki nad jeziorem, mój stary jeździ łodzią po jeziorze i łowi ryby — szczupaki, karpie pstragi, a dzieci pływają bliżej brzegu“. O kraksie samochodowej: „Jakiś czarny diabeł rozbił mi fendre w eksydencie, cała kara teraz w paradziu musza go sfiksować“ tłumaczenie: „Jakiś Murzyn rozbił mi błotnik w kraksie i cały wóz teraz w warsztacie, musza go zreperować“. Gospodarz robiący wszystkie prace wokół domu sam oczywiście nie reperuje ale „fiksuje“, nie maluje a „pejtuje“, nie przenosi, ale „mufuje“ wieczorem nie idzie do kina ale do „stol“ w jego domu nie mieszka lokator ale „rentnik“ albo zgoła „bortnik“ (sublokator). Przy powitaniu nie mówi się już więcej „dzień dobry“, ale krótkie „haj“ a zamiast do widze-

nia „baj“ (od angielskiego „hi“ i „bey“).

Nie lepiej wychodzą i dosłowne tłumaczenia z angielskiego na polski. Specjalizuje się w tych kwiatkach mowy ojczystej drugie pokolenie, inteligencja wychowana i wykształcona tutaj. Ich język jest poprawny, ale niektóre zwroty są nie z tej ziemi. Taki sobie przykład „Ja to z nim wyprostuję“. Myślicie, że chodzi tu o jakąś robotę przy domu lub na roli? Oczywiście nie — mówił do mnie w ten sposób znany polonijny dentysta urodzony w Stanach. Przetłumaczył on dosłownie angielski zwrot „I will straighten this out“ (co znaczy po prostu „ja to wyjąnię“) na „wyprostuję“ i domyślił się człowieka, czego od ciebie chcą!

Na jednym z zjazdów organizacji polonijnych na którym przewodniczył sławny w całym kraju sędzia słuchałem takich wyznań: Przewodniczący:

„Krzesło decyduje inaczej Krzesło ma tu prawo decyzy i decyduje, że pan nie ma podłogę“.

Delegat z widowni: „Ale proszę krzesła ja prosilem o podłogę już kilka razy i proszę o podłogę jeszcze raz“.

Słowo obcych, makaronizmów nie używano tu wcale — ale o czym mówił przewodniczący i kłótlwy delegat? Co to za „krzesło“ i co za „podłoga“? To klasyczny przykład dosłownego tłumaczenia z angielskiego. W angielskim przewodniczący zjazdu czy zgromadzenia nazywa siebie w trzeciej, bezosobowej terminologii „krzesłem“ (chair) i ten sposób decyduje. Nie mówi on JA decyduje — ale decyduje krzesło. Jest to forma przyjęta od dawna i będąca w powszechnym użyciu. Tłumaczenie tego na polski stwarza cudaczny dziwolak „język“.

Jeszcze cudaczniej wychodzi z „podłoga“ — znów tłumaczenie z angielskiego — na zjazdach delegaci nie proszą o głos ale o „floor“ — własnie o „podłogę“. Na amerykańskich zjazdach to rzecz naturalna, na polskich jednak brzmi to arcykomicznie — „proszę o podłogę“.

Jak więc widzicie język emigracji jest zaśmiecony różnymi naleciałościami angielskimi, przesłankami amerykańskimi. Nic to zresztą dziwnego — wpływ otoczenia jest ogromny, kontakty z Polską raczej bardzo luźne i często przerywane wojnami — rzeczywistymi czy tylko wojnami nerwów. Mimo wszystko jest to jednak język polski i ludzie nim się posługujący czują się Polakami. Interesują ich i na sercu leżą im sprawy polskie. Tak długo jak istnieje ta gwara polonijna, tak długo możecie być pewni że Polonia żyje.



Ona jest stara 18 lat

z cyklu

DEMOKRACJA LUDOWA

Jedną z grup inspekcyjnych Komisji Nadzoru i Kontroli w Wietnamie przebywa w górach na pograniczu Laosu. Wyjazd ten traktuje się jako dopust boży. Trudno się dziwić: 260 kilometrów od najbliższego miasteczka, dżungla pełna węży, w porze deszczowej — siedlisko malarii. Oto Muong-Xen — wioska składająca się z kilkunastu bambusowych chat na palach, zamieszkała przez mniejszość Hang-Tong. Wokół, w promieniu wielu, wielu kilometrów — dżungla i tylko gdzieniegdzie na wydartych puszczę polanach — podobne wioski pokrewnych szczepów Man-Tanh, Tay-Hay a wyżej, pod samymi wierzchołkami gór — słynne z uprawy opium Meo. I właśnie tutaj, w Muong-Xenie upłynęło najbliższe tygodnie mojego wietnamskiego pobytu.

Zaledwie godzina lotu i już Vinh — trzydziestotyśne drewniane miasteczko nad brzegiem morza. Kiedys było inne, bogate, murywane. Ale gdy w czasie wojny wyzwoleńczej zbliżał się do niego francuski korpus ekspedycyjny — ludność rozebrała domy cegła po cegle, przekopala drogi i schroniła się w góry. Z tamtych czasów pozostała tylko wielka murywana brama, sterząca samotnie przy drodze prowadzącej do miasta i murawany kościół.

W Vinh znajduje się grupa Komisji — a więc i dwaj Polacy i oficer i tłumacz. Za późno już, żeby ruszać dziś w dalszą drogę do Muong-Xenu. Trwa ona prawie dwanaście godzin, trzeba więc odpocząć.

Na drugi dzień o świcie budzi mnie wietnamski szofer. Czas ruszać.

Droga. Przez Francuzów zwana Drogą Kolonialną Nr 7, przecinała niegdyś ze wschodu na zachód cały Wietnam i biegła dalej po terytorium Laosu. Wietnam Północny wywalczył sobie niepodległość, Laos wybrał opiekę amerykańską. Drogi tych dwóch krajów rozeszły się i droga, która je łączyła — straciła swe poprzednie znaczenie.

Przez pierwsze godziny jeździemy rozległą, gęsto zaludnioną równiną. W jednej z wiosek szofer zatrzymuje się i wskazuje skromną, niczym nie różniącą się od innych chatę: „Tu urodził się i spędził dzieciństwo Ho Czu Tich” — prezydent Ho. „Jego rodzina mieszka tu nadal”.

Wreszcie góry. Najpierw wylaniające się wprost z płaszczyzny orogorine skały, niektóre tak pokryte splątana zielenią, iż nie można wprost oprzeć się wrażeniu, że to prosta spiętrzona masa drzew i krzewów. Ten dziwny twór natury jest dziełem morza. Czasem gdzieś w podnóżu odśladają się niaskały i wtedy widać na niej ślady działania wody: poziome linie wzdłuż płaszczyzn skalnych, wytrwale wyrzeźbione pieczary...

W południe zatrzymujemy się w dużej wsi Cong-Cuong — połowa drogi.

Cong-Cuong zamieszkała jest przez plemiona góralskie. Przeważają ludzie szczepu Tay-Hay. Zaskakuje mnie ich nędzny wygląd: półnagdy, jakby skarletli mężczyźni, kobiety o gołych plecach i ramionach. — tylko piersi zakrywa im luźno brudny kawałek materiału zawieszony sznurkiem na szyi i wpuszczony u dołu w czarne, luźne spodnie, dzieci — prawie wszystkie nagie. Po tem, już w Muong-Xenie dowiaduję się przyczyn: Tay Hay'e są prawie wszyscy palaczami opium.

Fo krótkim posiłku ruszamy w dalszą drogę, by zejść przed nocą do celu.

Góry stają się coraz dzikszymi: splątane lianami konary drzew tworzą nad głową zielone sklepienie, pod którym wirują tysiące rudowitych motyli. Gdzieniegdzie pracują przy drodze ludzie — narzędziami podobnymi do długich tasaków oczyszczają jej brzegi z roślinności, która nieustannie próbuje pochłonąć wydarty sobie przez człowieka pas ziemi. Gdzieniegdzie na zboczach górnym lasy. Czasem i to już tylko szare, dymiące popielisko, gdzie indziej — rozszerzający się krąg ogromnego ognia. Za parę tygodni na popiołach zazieleni się rzadki górski ryż.

Droga wiję się zboczami. W dole cały czas szumi rzeka. Do niej, przecinając drogę, zbiegają dziesiątki górskich strumieni. Dżip przejeżdża po ich kamienistym dnie — jeszcze nie zaczęła się pora deszczowa. Ale za kilka tygodni — strumienie zamieniają się w rwące rzeki i wtedy ruszą spoczywające teraz przy brzegach promy.

młodszym rodzeństwem, pomagają rodzicom w pracy na polu i przy połowie ryb. Tak mieszkają i żyją w Muong-Xenie ludzie szczepu Hang-Tong. Tak żyją mieszkańcy innych górskich wiosek. Muong-Xen różni się od nich tym tylko, że tu ma swoją siedzibę grupa Komisji oraz, że dawniej przed wojną był murywaną osadą, w której spędzali noc podróżnicy udający się do Laosu.

W Muong-Xenie szybko zaprzyjaźniłem się z wietnamskim oficerem łącznikowym, kapitanem Nguyen Trong Tyen. Towarzyszył mi w moich wycieczkach po okolicy, pośredniczył w rozmowach z miejscową ludnością, tylko dzięki niemu mogłem robić tu zdjęcia, bo tubylcy bardzo niechętnie się na to zgadzają, a wielu wierzy nawet, że fotografa, zabiera im duszę, która potem przychodzi straszyć...

Mijały dni, a każdy zbliżał mnie bardziej do ludności wioski. Słowo: Ba-Lan — Polak, było niezłą legitymacją. Interesowałem się pracą tych ludzi. Próbowałem ubijania ryżu na mąkę: ciężkim bijakiem osadzonym na długiej żerdzi, którą trzeba było rytmicznie naciskać nogami. Bijak twardo opadał w wydrążony pień wypełniony ziarnem. I tak pięć minut, dziesięć, piętnaście... Towarzyszyłem rybakom

wanie odbyło się bez jej zgody — do ślubu nie doszło.

Kiedy indziej poznałem chłopaka, który co wieczór przychodził grać pod dom dziewczyny, z którą chciał się ożenić. Grał na dziwnym instrumencie, który składał się z czterestnastu złączonych prętów bambusa o różnej długości, każdy z wywierconym otworkiem. Chłopak przebiegał palcami, jak po flecie, a muzyka płynęła smutna trochę i monotonna, ale pełna uroku.

Postanowiłem się czegoś więcej dowiedzieć o miłosnych zwyczajach tych ludzi. Opowiedział mi o nich kapitan Tien —

A więc najpierw — że dziewczyna, która ma piętnaście lat — jest już „na wydaniu”, a kiedy dochodzi szesnastu — ma już zazwyczaj męża. I że żonę można tu sobie zdobyć tylko przez porwanie. Porwanie dość zresztą dziwne, bo za zgodą porwanej. Odnosi się to do wszystkich szczepów góralskich i wszędzie ten cały rytuał jest dość podobny.

Zanikający już dziś zwyczaj kazał kiedyś młodemu małżonkowi, który odkrył, że żona nie była dziewicą — uciąć łeb świni i rzucić go przed dom jej rodziców. W ten sposób okrywał ich hańbą za to, że nie upilnował córki.

Mijały dni upalne, ale jak że niezwykle. Przed wężami chroniła skutecznie wysoka podmurówka pod naszą chatą. Przed moskitami — wieczorem długie spodnie i koszula z rękawami, a w nocy — biały namiot moskitiery nad łóżkiem.

Czasami nad wioską pojawiał się latosiński samolot obserwacyjny witany kanonadą wietnamskiej artylerii przeciwlotniczej i wtedy delegat kanadyjski usiłował przekonać grupę, że „nie należy zamieszczać tego w raporcie, bo nie ma na ten temat żadnych instrukcji i nie wiadomo właściwie, czy to nie były jakieś ćwiczenia...”. Jak zawsze próbował bronić interesów Południowego Wietnamu i Laosu.

Zbliżał się już mój wyjazd, ale chciałem tu zabrać jeszcze jednego. Wreszcie udało mi się, choć dopiero w przeddzień wyjazdu... Pajłem opium.

To także zawdzięczam nazszemu oficerowi łącznikowemu, kapitanowi Nguyen Trong Tyen.

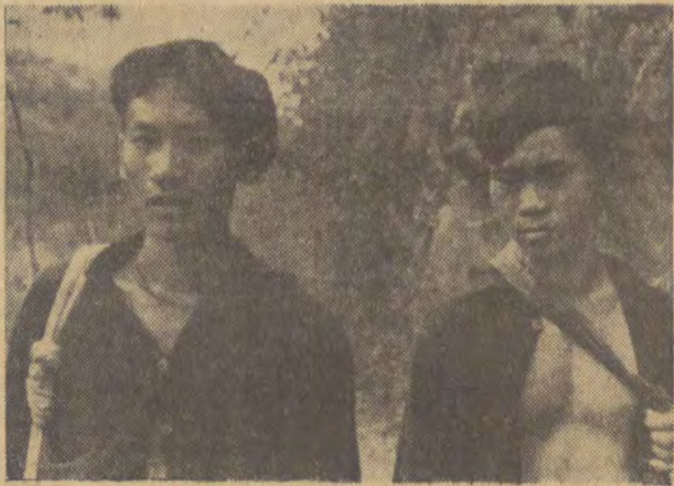
Palenie opium jest obecnie zabronione zarówno w Wietnamie północnym jak i południowym. Jednak zakaz ten nie wystarczy dla odstraszenia wielu spośród tych, dla których przyzwyczajenie to stało się już nałogiem. W Wietnamie południowym jest niejedynie wiele nielegalnych palarni. Ani jednej natomiast nie znalazłoby się na północy. Za to rząd północny nie objął swym zakazem dwóch okręgów, wśród ludności których palenie opium było najgłębiej zakorzenione, starając się równocześnie wpłynąć na tych ludzi innymi środkami — odpowiednią propagandą, a nawet środkami medycznymi. Okręgi te to: Lao-Cay i właśnie Muong-Xen.

Opium uprawiają Meo osiedli pod wierzchołkami gór. Tam dopiero jest dostatecznie chłodno dla tej rośliny. Sami Meo go jednak nie palą. Palą za to opium ludzie innych szczepów, między innymi wielu spośród zamieszkujących Muong-Xen, Hang-Tongów.

Wysłaliśmy zaraz po obiedzie, w czasie siesty, w tajemniczy przed resztą grupy. Bambusowa chata na palach nie różniła się niczym od innych, przechodziłem obok niej przedtem dziesiątki razy.

Chudy, stary, Hang-Tong zabrał się zaraz do przygotowywania porcji dla siebie i dla mnie. Do małej miseczki, którą ustawił na ogniu, wlał trochę gęstego, ciemnego płynu przypominającego żywicę. Po chacie rozszala się przyjemna woń. Długo prażył i mieszał opowiadając przy tym o opium, o sobie i rodzinie. Potem przy-

Wśród ludów ...HANG-TONG TAY-HAY i MEO, gdzie palą opium



Stywni z uprawy opium Meo, zamieszkują pod samymi wierzchołkami gór. Do Muong Xenu schodzą tylko by wyminąć opium i skórę na prach i sól — jedynie niezbędne im rzeczy

Zmęczenie daje się coraz bardziej we znaki. Niewiele pomaga kilkuminutowy odpoczynek w jakiejś wiosce i kubek mdego mleka kokosowego, tyle, że jest ono zimne, wylane wprost z owocu, który chyba jest pierwowzorem termosu... Szofer wyciąga zza siedzenia karabin i układa go sobie pod ręką. Pytam po co? Robi groźny gest i powtarza: „Lao-Fui knum-tot, paf-paf...”. Ten za bawny trochę, wojowniczy gest przypomina mi, że zbliżamy się do granicy Laosu. Zaczyna zmierzchać, kiedy wreszcie dojeżdżamy do Muong-Xenu.

Na drugi dzień rano obudziłem się w małym pokoiku o ścianach z bambusowej plecionki. Prymitywne sprzęty, nie ma podłogi, okna bez szyb zasłaniane tylko na noc bambusowymi okiennicami. Ale za tymi oknami jedyny, niezapomniany widok: góry. Pokryte dziką, splątana masą zieleni i aż groźne tą swoją bliskością. Jacyż ludzie mogli wybrać sobie to miejsce dla załdżenia swoich siedzib?

Mężczyźni zajmują się polowaniem, rybołówstwem; kobiety przygotowują posiłki, pierą w ręce i uprawiają małe pola górskiego, nie wymagającego nawadniania ryżu. Dzieci opiekują się

wędrującym z obwieszoną metalowymi ciężarkami siecią wzdłuż brzegów rzeki, zawsze w otoczeniu kilku narci skrabów. Uważnie patrzyli na wodę i w miejscach, które dla mnie niczym nie różniły się od każdego innego, rzucali się płaskim ruchem. Ociążona sieć natychmiast opadała na dno i wtedy — zaczynało się nurkowanie. Choć sam nieźle pływałem, nie próbowałem na wet tej sztuki; znaleźć pod wodą przyciśniętą siecią do dna rybę, ostrożnie wyluskać ją — wynużywszy się na po wierzchnię — wyrzucić na brzeg. Dzieci traktowały to jednak raczej jako zabawę, niż pracę. I zawsze po rzuconiu sieci był jakiś płon — choćby jedna ryba, a często cztery i pięć...

Innym zajęciem dzieci było chwytanie motyli. Na wilgotnym piasku nad rzeką motyle siadały jeden przy drugim całymi setkami spragnione wilgoci, różnobarwne, ogromne. Wystarczyło szybko nakryć je siatką, przynieść i zebrać do koszyka. A potem — setki okazów, które byłyby odblą niejednych zbiorów, szły po prostu na pokarm dla kaczek...

Pewnego razu pokazano mi młodą dziewczynę, prawie dziecko jeszcze, którą kilka miesięcy temu porwał chłopak, chcąc ją wziąć za żonę. Ponieważ jednak por-

SEDNO
RZECZY
MARIAN PIECHAL

Czy warto czytać?

Oczywiście, że nie warto. Odstraszący przykład Don Kichota powinien tu być dostatecznym ostrzeżeniem dla każdego. To nadmierna, a więc niezdrowa, lektura książek sprawiła, że w zwykłych dziewczkach od doju pocieszny bohater Cervantesa widział wytworne księżniczki, a w stadzie baranów armię groźnych nieprzyjaciół. Można się sprzeczać, czy to akurat przeczytane książki strzywiły tak wyobraźnię Don Kichota, że zamiast wiatraków widział, patrząc na nie, ziośliwych olbrzymów, wygrażających mu prowokacyjnie ramionami — jednak wątpić nie można, że jedynie te przeczytane przez niego książki rozbudziły w nim daną mu przez naturę laską własnie a nie inną wyobraźnię. Gatunek wyobraźni jego giermka, Sancio Pansy, był inny, bardziej przyziemny i konkretny, ale czy dlatego tylko, że nie przeorany, że tań powiem, plugiem lektury? Ten trzeźwy i praktyczny grubas, wojny od sugestii książek, analfabeta, był jednak wodzony na pokuszenie przez oczynlanego wariaa. Ergo: Sancio Pansa też był posrednią ofiarą ziego wpływu czytania książek. Co jednak zyskał, że sam książek nie czytał?

Mozna oapowiedziec, że zachował zdrowie psychiczne i równowagę wyobraźni, ale stracił za to niepomiernie wiele: wolność osobistą. Stał się bowiem bezwonnym narzędziem w rękach wariaa, pozalowana goana ofiarą jego nieodpowiedzialnych chmer. Jedyną jurtką ucieczki z tak beznadziejnie żalosnej sytuacji byłaby dla Sancio Pansy, gajby nie był analfabeta, lektura książek czyli zastosowanie zasady: kłan kinem, Dlaczego?

Diatego, że książka nas nobilituje, czyni wolnymi wobec innych, niezależnymi wobec ich interpretacji świata przez możliwość interpretacji własnej, zpoanej z naturą naszej wyobraźni i naszych potrzeb życiowych. Oto, co daje czołwekowi książka mimo takich lub innych jej mankamentów. Daje mu skarb najcenniejszy ze wszystkich możliwych do osiągnięcia na ziemi: niezależność myśli, a więc wolność osobistą! Gdyż jedna jest synonimem drugiej.

Niezależność myśli to dowolna interpretacja świata czy też sensu życia, ograniczona jedynie — bagatelka! — koniecznościami logicznego rozumowania? A jak nabyć tej umiejętności logicznego czyli poprawnego rozumowania. Nie ma innej drogi, jak tylko poprzez dialektyczną wymianę zdań, popartych czyli sprawdzonych doświadczeniem. A ponieważ książka, to nic innego, tylko pewna suma doświadczenia ludzkiego, więc jedynie poprzez nią możemy gro-madzić argumenty na rzecz naszego niezależnego stnowiska!

Nie tedy dziwnego, że przez długie wieki dowolna interpretacja ksiąg, a co za tym idzie interpretacja świata i sensu życia, była zabroniona. Urzędowo wszelkie religie zabraniały tej interpretacji i dziś, stosując tzw. indeksy i ekskomunikę, nie mogą, jak w wypadku Giordana Bruna, Jana Husa i wielu innych, użyć słosu ognistego: Zabraniają także religie polityczne, czego najbardziej jaskrawy przykład dał w niedawnej przeszłości hitleryzm, rozpoczynając od palenia książek, a skończywszy na spalaniu ludzi, interpretujących po swojemu świat i sens życia, a więc myślących niezależnie. Zachowując dla siebie jedynie trafną czyli autorytatywną interpretację ksiąg, usiłował faszyzm zepchnąć człowieka na dno powłórnego analfabetyzmu, czyniąc zeń pozabawionego własnej myśli i zdolności logicznego rozumowania Sancio Pansa.

Powie ktoś, że w dobie radia i telewizji książka spada w swoim znaczeniu, bo już nie jest jedynym przekazywaniem międzyludzkiego doświadczenia. Sądze, że jest wprost odwrótnie. Nie trzeba zapominać, że wraz z latwością rozpowszechniania słowa szerszy się łatwość jego fałszowania. Bowiem verba volant. Ale tym bardziej tedy scripta manent. Jedynie książka, słowo drukowane, może zachować w czystej nieskazanej formie skarby ludzkiego doświadczenia. Nie darmo czeki bankowe uwierzytelniany czytelnym podpisem, a nie potwierdzeniem słownym przez radio lub drogą telewizyjną. Książka była, jest i będzie jedynie wierzytelnym dokumentem rozwoju ludzkiej kultury czyli gwarantem niezależności myślenia i osobistej wolności człowieka.

A więc, czy warto czytać? Oczywiście że warto. Ze wszystkich rzeczy, które warto robić, najmniej chyba wątpliwe jest czytanie książek. A jakich i jak, bo to też ważne, ażeby nie popaść w chorobę Don Kichota — o tym następnym razem.

gotował dwie maty, podpórki p.c. głowy, zapalił małą lampkę napełnioną olejem z orzeszków ziemnych i wyjął długą fajkę z małym otworkiem. Metalową paleczką umieścił kulkę opium w otworze fajki i zapalił ją od lampki. Ciągnął długo, chyba minutę, a potem szybko wypuścił dym. W ten sposób podobno opium działa mocniej.

Kolej na mnie. Ułożyłem się wygodnie, Tyen troskliwie przetafi fajkę spirytusem... Po drugiej fajce poczułem, że lekko kręci mi się w głowie. Równocześnie wszystko stało się jakieś jaśniejsze, przyjemniejsze. Przez leciutką mgłę patrzyłem jak Tyen robi jedno zdjęcie za drugim — prosiłem go przedtem o to, ale

teraz wydało mi się to zupełnie nieważne. Potem jeszcze jedna fajka i jeszcze jedna.

A potem spędziłem dwie godziny na swoim łóżku i nie było żadnych trosk, żadnych zmartwień. Próbowałem pomyśleć o czymś przykrym — nie udało się...

Zbliżał się powrót do kraju. Czekalo mnie jeszcze jedno wielkie przeżycie wyjazd do Pnom-Pench — stolicy Kambodży, a stamtąd do Ang-Khoru, kamiennego miasta, pochłoniętego przez tropikalną dżunglę...

DOKŁAD

MATURZYSTO

(Dokończenie ze str. 1)

cejalistycznym, gdzie odwieczny rachunek krzywd jest przecież wyrównywany już tutaj, za życia. Dochodzi niemal do tego, że więcej się można nauczyć z prasy codziennej i tygodników, niż z lektury szkolnej. Literatura współczesna jest dziedziną niedostępną dla przeciętnego maturzysty. Nie mówię o plastyce, która dla większości maturzystów jest reprezentowana przez „Grunwald” Matejki. Nie mówię o muzyce, która sprowadza się do wiedzy o Chopinie (że muzurki) i o Moniuszce (że to co „Halke” napisał). Jest rzeczą paradoksalną, że uczeń szkoły wie więcej o Marście niż o Marksie i marksizmie. Z drugiej strony przedmiot taki jak logika, jest we wszystkich szkołach lekceważony. Sam pamiętam jak na każdej lekcji logiki grałem w szewca na ostatniej ławce. Zastąpienie logiki w szkole średniej jakąś propedeutyką filozofii, z uwzględnieniem marksizmu, wykładana przez zaangażowanych nauczycieli z pokolenia młodych filozofów byłoby przez uczniów przyjęte chyba z ulgą. I nie po-

zostałoby bez wpływu na kształtowanie światopoglądu młodzieży. Mój przyjaciel miał wychodzić, kiedy dowiedziałem się, że Z nie studiuje. Pamiętałem tego niskiego blondynka z ostatniej ławki. A więc Z nie studiuje. Wiedziałem, co to znaczy. Mieszkał, zdaje się, pod Łodzią i rodzina lokowała w nim swoje nadzieje. Wiedziałem go parę razy rano jadącego na Polibudę. Lubiliśmy tego ambitnego Z., z kompleksami, inteligent w pierwszym gokcieniu. Wiedziałem doskonale jak to wygląda, jak się zaczynają pośpieszne ucieczki przed wojskiem, pisanie petycji, szukanie nowych studiów. A ona kiedyś do mnie dzwoniła. Szukała wtedy pracy. Nie dostała się na studia i była załamana. Potem pracowała w sklepie. Nigdy nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób poznała wtedy tego faceta. Pytałem wszystkich, którzy go mogli znać. Nikt o nim nic nie wiedział. Tyle, że jest od

samej klasy, zdaniem I. zupełnie dla mnie nie odpowiedniej. Słuchałem się I. w wielu sprawach, w tym jednym punkcie nie było między nami zgody. W gruncie rzeczy I. miała rację, wstydziłem się do tego przyznać i nawet jeśli teraz ją spotykam, nie mówimy o tamtej sprawie ani słowa. Jestem przekonany, że i ona wie, dlaczego milczę. Dlatego milczymy oboje. I już nie staję, coś tam się nie ułożyło. Pracuje, podobno lubi swoją pracę.

Jej najbliższą przyjaciółką była J. Miała rodziców na wsł, mieszkała u babki gdzieś na Limanowskiego, rodzice rzadko do niej przyjeżdżali, ale jej matkę kiedyś pozna-

niu sobie przyszłości przez tysiące maturzystów, że ten balagan jest powielany z roku na rok i służy jako wzorzec dla tysięcy zastępców nowych maturzystów. Ingerencja władz oświatowych w tej dziedzinie jest potrzebna jak najszybciej. Piotrkowska można by wysłać gazetami, w których się pisało o potrzebie reformy. Proponowano przymus rocznej pracy przed przyjęciem na studia. Praca ta musiała by się wiązać z przyszłymi studiami.

Już w tej chwili zwraca uwagę, jak wyższe uczelnie niewiele troszczą się o kontakt z przyszłymi studentami. W prasie codziennej przeczytałem niedawno notatkę o zebraniu zorganizowanym przez Akademię Medyczną dla kandydatów na studia. Notatka ukazała się w dniu zebrania. Nie wiem, czy inne wyższe uczelnie dawały sobie w ogóle trud zorganizowania podobnych spotkań.

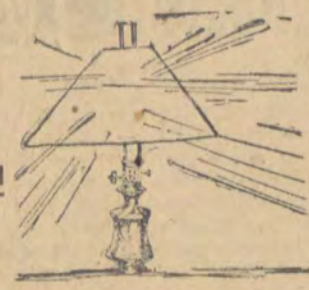
Zorganizowanie przyszłości maturzystów powinno pójść w dwóch kierunkach. Z jednej strony przez lepsze przygotowanie do życia, przez uwzględnienie w programach szkolnych wymogów współczesnego życia, poprzez uwspółcześnioną humanizację wraz z praktyczną, niezbędną politehnizacją. Z drugiej strony przez silny związek wyższych uczelni ze szkołą średnią. W przyszłości nie da się zapewne uniknąć reformy poważniejszej, takiej jak przymus rocznej pracy przed rozpoczęciem studiów.

Chodzi o to, żeby to zrobić najszybciej. Żeby nie pozostawiać maturzystów samym sobie w pierwszym roku samodzielnego życia, żeby uniknąć rozczarowań i tragedii. Niedawno poszedłem odwiedzić dawną szkołę. Było to w okresie matur. Tegoroczni maturzyści nie poznali mnie. Ale woźny tak. Pogadaliśmy sobie o naszej trzynastce klasowej, z nazwiska pamiętał wszystkich. Powiedział, że życia nie przegrzywa się w dwudziestym roku życia. No tak, ale właśnie wtedy życie się rozgrywa. Nie powiedziałem mu tego. Tylko papierosy wyciągnąłem, by poczęstować. Ale nie zapalił, chociaż wziął jednego i schował do kieszonki w marynarce. I poszedł przesłuchiwać jakieś ławki.

KONRAD FREJDLICH

DEBIUT

HENRYK CZARNECKI



LAMPKA NA STOLIKU

W nocy pokój jest pusty. Noc pozawijała przedmioty. Nie ma już nic. Nawet stojącej na stoliku lampki. Gdy doszedłeś do wniosku, że i ciebie nie ma, zapalasz lampkę. Zaczyna się ruch. Meble ustawiają się w pośpiechu. Łalki uśmiechają się ze ścian. Delikatnym ruchem ręki dziękujesz małej lampce za wrócone życie.



PAN ZYGMUNT I JEGO KRÓLOWA

Marzy o niej od kilkunastu już minut. Osacza ją doświadczeniem swoich pięćdziesięciu lat. Kusi. Prowołuje. Wreszcie ulega. Posadził ją obok siebie. Dotknął ręką jej kształtów i... cofnął nagle dłoń. Królowa jest piękna, lecz zimna. Na szczęście coraz rzadziej spotyka się marmurowe szachy.

WŁOSY

Viola ma obecnie rude włosy. — Od poniedziałku. Kiedyś była blondynką. — Z szafy. Blanka jest blondynką. — Wczoraj jeszcze była ruda. Ruda Zocha jest brunetką. — Gdy ją poznałem była blondynką. Wróżka powiedziała mi dziś, że kocha mnie blondynką. Która?

MAREK WAWRZKIEWICZ

Poeta ciągle młody

Okres okrągłych trzydziestu lat obejmuje obszerny wybór wierszy Włodzimierza Słobodnika *) — od pierwszego tomiku „Modlitwa o słowo” wydanego w 1927 roku do „Podróży wyimaginowanych” w 1957. Wybór zawiera wiersze z czterdziestu tomików, które poeta wydał w określonym wyżej czasie. Lektura „Nowego wyboru wierszy” oprócz niewątpliwych przeżytych artystycznych, dostarczy chyba czytelnikowi wiedzy o poecie niemal podręcznikowej i choćby z tego powodu może stać się lekturą prawie obowiązkową. Wrażliwość poetycka Słobodnika sprawia, że na jego zawsze nieskazitelnym technicznie wierszach wyraźnie wskazać można wpływy zarówno prądów literackich jak i wybitnych indywidualności poetyckich ostatniego trzydziestolecia. Nie oznacza to naturalnie, że Słobodnik nie posiada, czy nie posiadał w którymś z okresów swej twórczości ukształtowanej własnej indywidualności. Świadczy tylko o niemożliwości uniknięcia poddania się tym wpływom, wskazuje „tych największych”, którzy zresztą wpływ nie tylko na Słobodnika wywierali, świadczą w końcu, jeśli już ktoś chce, o powiązaniu poety z epoką wielkich odkryć w sztuce. Kiedy już mowa o wpływach: wydaje się, że już w najwcześniejszym okresie swojej twórczości Słobodnik rozdzielał pojęcia „wpływ” i „naśladowanie”. Wiersz

Preża się, tęzą gumy muskułów
Nabrzmięwa bryła siły opilą
Przejęty tułów
(Praca)

lub

Idziemy — pogromcy maszyny,
Twardzi, wytrwali jak szyny,
Spiewamy żelazne hymny!
Idziemy — huragan, wiatr!

(Pochód)

to już nie tylko fraza, powiedzmy, tuwimowska, to wyraz mody epoki — znajdujemy go nie tylko u Słobodnika ale i u Tuwima, Broniewskiego czy nawet Gałczyńskiego.

Wiersze Słobodnika reprezentują poetykę niestarzejącą się. Nie wymagają uwspółcześnienia ani noty wydawcy — są współczesne. Szczęśliwy wybór metaforyki, znakomite rzemiosło poetyckie dają wiersze których piękno nie mija. Takich jest obrzydliwie dużo, a na wymienienie najbardziej według mnie zasługują: „Z modlitwy o słowo”, „Rzecz”, „Twardowski”, „Don Juan” — wiersz o doskonale zbudowanym klimacie, aż proszący się o czytanie w całości; z „Cienia skrzypka” — „Ofelia” ze strofa:

I oto w srebrnej rzeczce, jako w srebrnym grobie
Leżysz samotna, pełna śmierci i białości
I lepiej ci, i ciszej, i spokojniej tobie,
Ofelio, na dnie rzeki niż na dnie miłości.
„Golem” czy „Iliada”, która kontynuuje cykl przejmujących wierszy antywojennych.

Z „Nowej Muzy” wymienilibym przede wszystkim „Skarpetki”, „Na śmierć Sacca i Vanzettiego”, ze „Spacera nad Wisłą”, który wydaje mi się najlepszym i najbardziej przedwojennym tomikiem Słobodnika, chyba wszystkie wiersze mogą być ulubionymi, takimi, do których się wraca.

O ile w pierwszych tomikach Słobodnika przeważa epika, w późniejszych coraz więcej jest wierszy lirycznych. Tu chyba znalazł Słobodnik swoją najwłaściwszą drogę. Jego liryka, bardzo miękka a jednocześnie męska, stoi ciągle w bezpośredniej bliskości epickiego obrazu opartego na umiejętności opowiedzenia obserwacji.

Pierwszy powojenny tomik „Dom w Ferganie” uderza pełnią dojrzałego, skrytowanego talentu. Wiersze cechuje wielki ład i idealny zewnętrznie spokój. W bardzo starym temacie jakim jest nostalgia zna-

lazł Słobodnik wiele elementów nowych, zupełnie świeżych. Poeta zestawiając dwa obrazy — przypominał sobie ojczyznę i egzotycznego, dalekiego Uzbekistanu tworzy klimat przepojony liryzmem i wzruszającą tęsknotą za ojczyzną. Czekam, patrzę, aż wreszcie nadciągnie zmierzchanie. Pożegnajże przemkną po zachodzie I jak kwiat fantastyczny, tu w Uzbekistanie Zakwita Polska zorzą lśniącą na zachodzie. (Dom w Ferganie)

Wyodrębniłbym jeszcze jeden motyw przewijający się przez wszystkie tomiki. Słobodnik jest „poeta zaangażowanym”. Już w pierwszych jego zbiorach z sielskimi niemal obrazami ludzkiej szczęśliwej pracy kontrastują wiersze pełne współczucia dla krzywdy, zrozumienia jej źródeł, wiersze pełne gniewnego buntu. Wymieńmy tu „Ziarno kawy”, wspomniany już „Pochód”, „Godzina modlitwy”, „Robotnicy” czy „Zaduszki”.

Niezwykle interesujący jest ostatni okres twórczości Słobodnika. Poeta rezygnuje częściowo z szerokości obrazu, operując obrazem syntetycznym. Wydaje mi się, że w ten sposób realizuje ważny warunek nowoczesności: proces tworzenia wiersza nie kończy się wraz z jego napisaniem. Bo musi przecież zmuszać czytelnika do refleksji, do przemyślenia strofa, w której zamyka poeta wielkie przestrzenie zarówno czasu jak i zdarzeń:

Kobieta obiera kartofle,
Będzie pałał deszcz i zakwitnie tęcza,
A ona będzie obierała kartofle.
Sąsiad będzie ścisnął przygodną kochankę
A ona będzie obierała kartofle.

Wszystcy dyktatorzy runą z piedestałów
A ona będzie obierała kartofle.
(Kobieta obierająca kartofle)

Z całą pewnością można na zakończenie zacytować słowa Słobodnika, który wcześniej już sam najlepiej określił swą poezję:

I czuję, jak tężeją w jedną rzecz me słowa,
W rzecz prostą, pożyteczną, trwałą, ładną ładem...
(Rzeczy)
Włodzimierz Słobodnik „Nowy wybór wierszy” Łódź, 1959. Wyd. Łódzkie str. 398.



WIESŁAW JAŁDZYŃSKI OKOLICA starszego KOLEGI

... Po drugiej stronie wzgórza
... dynek Liceum im. St. Żeromskiego, wystawiony w pierw-
... szej połowie XVIII wieku. W ścianie zewnętrznej znaj-
... duje się tablica z... ongi uczni...

Dziewczyna, zwycięzcy i zwyciężeni

Jest rok 1938. Prowincjonalne miasto wojewódzkie posiada gimnazjum, do którego uczęszczało wiele znakomitości, m. in. Stefan Żeromski i ówczesny premier Sławoj Siłkowski. Panowie licealiści z tego właśnie gimnazjum podzielili się, zależnie od światopoglądu na trzy wielkie obozy: demokratów, arystokratów i sportowców. Arystokratów i demokratów walczyli przy pomocy krzyku („bie chamów!”, „bie szlachty!”) na intelektualnym (dowodzenie naukowe, z którego wynikało, że albo jeden, albo drudzy stanowią zakale ojczyzny i powinni zniknąć) walczą wreszcie przy użyciu broni ciężkiej (krzesła, kosze na śmieci, kreda i inne sprząty szkolnego użytku, jak kalamarze, pomoce naukowe itp.). Dwoch wybitnych arystokratów — Księżę i Buczackiego — Księżę i Buczackiego odbyło krwawy pojedynek na szable o kobiecie, w wyniku którego Buczacki został publicznie ośmieszony. Za namową Buczackiego plutonowy Kwiatek, który również pali nienawiścią do młodzieży, aresztuje głównych bohaterów groteskowego otwarcia... szaleństwa. „Tak efektownej akcji nie notowały od lat kroniki polityczne.” Jednakże piany Buczackiego spaliły na panewce, ponieważ z opresji wyratował wszystkich Lutowiecki, syn wicewojewody. Obecnie odbywają się zawody narciarskie. Która ekipa junaków z cenzurem zwycięży?

— Czy mogę prosić kolegę o ogień? — Buczacki zahamował zgrabnie. Książę drgnął. Od czasu pamiętnego pojedynku nie zamienił z sobą ani słowa. Dwaj wrogowie dawno się zresztą nie widzieli. Prawie równocześnie ze słynną uroczystością otwarcia szalatu mlejskiego Buczacki przeniósł się do „biskupówki”. Nosił teraz granatowy mundur z zapinany pod szyją i rogatywkę z otoczkiem koloru czapeczki. Jego Eminencji, nominalnego właściciela „biskupówki”. Odejście Buczackiego powitano z ulgą i przypisywano wszystkie zasługi z tej racji całej szkole, która tak dzielnie prześladowała infamisa. Plutonowego Kwiatka przeniósł komendant policji na prowincję, gimnazjum zaś za sprawą wicewojewody Lutowieckiego zyskało niebyłej wyjątkowość. W specjalnym piśmie stwierdził pan wojewoda Gniewosz oświadczyć, że wychowankowie dyrektora Jeleńca, z właściwym młodzieńcemu humorem, rozumieją idee swojego „starszego kolegi” — pana premiera. W tych warunkach Buczacki odchodził do biskupówki pełen za pleckami nienawiści. — Tylko, nie kolego — powiedział Książę, odwróciwszy się dumnie w drugą stronę — służę panu — podał Buczaickiemu zapalnik. — Coś pan taki oficjalny? — zaśmiał się sztucznie Buczacki, co było a nie jest, nie pisze się w rejestr, przecież nie: amy się o co kłócić... Książę odjechał. — Owszem — rzucił mu z daleka — mamy się o co kłócić i mamy o co walczyć, choćby o honor na trasie... Buczackiego ogarnął śmiech. — Pan kolega nie mówi chyba tego poważnie, wasza drużyna... ha, ha, ha, te chłopskie popłuczyny, zdecydować można ze śmiechu... — Młecz, jak do mnie mó-

wisz! — Florek jednym skokiem dopadł Buczackiego. Chwycił za lufę olbrzymi, staroświeckiej karabin i wymachiwał nim jak legendarny Wyrwidąb maczugą. Zewsząd zbiegli się uczestnicy biegu. Awantura zawiązała w powietrzu. — Mają chwytne morale — zauważył z niepokojem porucznik Pytko. Pobiegł na środek polany, przyjął postawę zasadniczą i krzyknął: — Na moją komendę baaaczność! — drużynami w dwuszeregu zbiórka! Namietności przygasty momentalnie, rozpoczął się wielki bieg. Porucznik Pytko, jako dowódca całości, stanął teraz na czele kolumny. — Junacy! Nasza doroczna impreza, nasz sprawdzian tężyzny fizycznej narodu i jego konsolidacji! znajdzie za chwilę wyraz w biegu i strzelaniu do celu nieruchomego z pozycji leżącej, ma się rozumieć. Wyłatujcie orły do boju szlachetnego i zwyciężajcie! Porucznik podniósł w górę rękę uzbrojona w rakietnicę. Huknął strzał, czerwona kula wytrysła ponad lasem, z drzew runęła na junaków i dowództwo lawina śniegu. Po kilku sekundach wszyscy przypominali piekarzy. — Start! — krzyczał bohater kompanii litewsko-białoruskiej, wypluwając śnieg. Pierwszy wystrzelił do przodu olbrzymi Florek, autor skomplikowanego planu batalii. Plan Floraka, obowiązujący całą drużynę „bez gadania” opierał się na gruntownej znajomości gimnazjalnej psychologii. Człowiek w wieku przedmaturalnym to istota wyjątkowo drażliwa, wyczulona jak seismograf, łatwo się entuzjazmuje, łatwo jednak traci morale i ulega depresji. Dlatego właśnie wystawili humaniści na początek swoich najlepszych narciarzy i strzelców, zostawiając sobie tylko dwóch jakich — takich na koniec, od wypadku. Człowiek zdobył miazdząca przewagą punktowa, równocześnie zaś ogólnoklasowy dowcipnie w rodzaju Tramencourta, czy Miazgi, drwina, syderstwem, kśliwymi uwagami, rozłoży moralnie konkurencyjne drużyny, które załamała się, straca odporność psychiczną i przegrają. Genialny plan Floraka, prawie napoleoński, nie był jednak pozbawiany braków, które wyszły na jaw dopiero później. W każdym razie można powiedzieć, że obok Floraka pracowało nad identycznymi planami! jeszcze dwóch innych Napoleonów. Na razie jednak wszystko szło nadspodziewanie dobrze. Florek okazał się mistrzem nad mistrzami! Wpadł na mecie pierwszy, pozostawiając przeciwników daleko poza sobą. Ustanowił też rekord w strzelaniu. 93 punkty na sto możliwych, czegoś podobnego jeszcze nie był! Dwaj następni sportowcy Fabiszewski i Dandys ożnieśli: co prawda nie tak efektowne sukcesy, przysporzyli jednak swojej drużynie kilkanaście nowych, bezcennych punktów. Na polanie, gdzie przygotowywali się do startu coraz inni zawodnicy, działał

energicznie dowcipnie, tamniać morale przeciwników. — Poddajcie się, panowie, bez bicia! Nie pomoże święty Boże! — Ciemna mogiła! Leżycie tak, że was pulk saperów nie wykopie, odegramy się za wszystkie lata! — Nasza drużyna przeszła norweską zaprawę, nic wam nie pomoże! — Jak Pomorze nie pomoże to pomoże morze, nłkowa, prezesowa sądu. Mój ty Boże, mieć tam wzięcie, to tyle co mieć całe miasto w kieszeni, a grono? Biedny w gruncie rzeczy, obarczony liczną rodziną nauczyciel gimnastyki, bez wyższego wykształcenia, nie był zbyt wysoko notowany wśród grona profesorskiego. Tamci mieli za sobą uniwersytety, pensje przekraczające czterysta złotych, wydawali książki o nieznanym kwiatkach i muszkach w Puszczy Jodłowej, nieznanym szczegółach kilku dniowego pobytu Kazimierza Wielkiego w zamczysku, które królowała nad sąsiednim miasteczkiem, o nieznanym spotkaniu wielkich pisarzy w wojewódzkim mieście. A on, Swistak, bohater odwrotu z Kijowa do Trembowli, zepchnięty na trzeszczące krzeselko, gdzie w końcu długiego stołu nauczycielskiego, dyskretnie, lecz przecięź wyrażnie lekceważony, od ilu już lat znosił to upokorzenie! Ale teraz, kiedy wbrew rożgice, na przekór całej dotychczasowej tradycji, jego wychowankowie błyscy są wielkiego zwycięstwa? Spojrzył ciepło na Tramencourta, który przygoto-

niezawodnych strzałów i krzyczeń. Czas płynął niepostrzeżenie. Dwaj konkurenci zameldowali się już na mecie, ale szczęśliwy Książę Paryża i okolic nie liczył minut. Anioł szeptał mu, że ten oficer kawalerii z knajpy na Słowiku to rodzinny brat, nie trzeba być zazdrosnym, anioł prosił Księżę, by nie wykorzystywał słabej kobiety, na to przyjdzie czas, otrzyma znak, wreszcie anioł poczuł się lepiej. — Ach co za ból, jakież straszny ból, na pomoc! Pod małym świerkiem wila się wprost z bólu Krystyna Porajówna. Mimo straszliwego cierpienia wyglądała prześlicznie. Wszystkie odcienie błękitu, jakiego tylko można zobaczyć — obcisłe, błękitne spodnie, sweter, rękawiczki, kokleteryjna czapeczka z pomponikiem, szalik okręcony niedbale wokół szyi, złote włosy rozsypane prawdopodobnie w czasie upadku — nasunęły Raciborowi myśl, że ma przed sobą obłok w kształcie anioła. Skoczył do rannej dziewczyny. — Och, Boże! Co za niezgrabiasz! Niechże mnie pan podnieście! — Drobny ale istotny element wielkiego zwycięstwa

z którym Krystyna na ustach Racibora spłynął w dół. Imię Krystyny obronilo go przed wrogimi spojrzeniami kolegów. Minoło go dwóch przeciwników, nad drużyną wisiła groźba kleski: absolutnej, śmiesznej, kompromitującej. Kiedy, wyobcowany z tego świata, szczęśliwy ponad wszelką miarę, zjawiał się od niechcenia na mecie, kiedy rzucił niedbale w śnieg plecak wyładowany regulaminowymi cegłami, drużyna dysponowała już tylko kiepskimi zawodnikami, nie licząc Księżę i Justyna. Ci dwaj jeździłi dobrze. Obaj spisałi się nad podziw dzielnie, dopingowani rozpacza zyskali kilka minut na przeciwnikach, ale kleski odwrócić już nie mogli. Czy mogli ją odwrócić ostatni zawodnicy — olbrzymi Tracz, Poeta i Dzik, Dzik i Malinka, syn miynarza? — Leżymy, kurka wodna, leżymy! — łapał się za głowę Florek. Jego genialny plan realizowany z wielkim powodzeniem załamał się zupełnie. Trzej narciarze żałowali z których każdy miał bodaj dwa razy w życiu deski na nogach, dokonali jednak cudu, nie tyle na koszt nieba, ile bankiera obozu demokratów Chorwata. Krótkowzroczny Chorwat dysponował najmocniejszą walutą świata — paczką znakomitych papierosów marki „Nile”. Trzej wspólnym strachem i troską o dobre imię szkoły zbratani demokraci, podzielili „Nile” na trzy części. Każdy z nich, ledwie zniknął w gestych krzakach zagajnika, odpinał narty i pedził co tchu, bokiem, chyłkiem, na wzgórze. Dwa-dziesięć doskonałych papierosów przekonało bez trudu dyżurującego kaprala, że widział na własne oczy trzech doskonałych narciarzy, mknących lotem strzały pod górę. Tego lotu w żaden sposób nie mogło sobie uświadomić sześciu konkurentów, rozstrzygało jednak zdanie pana kaprala. — Dobrzy z nich żołnierze — meldował porucznikowi Pytko — prawdziwy strzelec umie tak się zlać w terenie, że go nie widać! Tak więc drużyna humanistów zwyciężyła po raz pierwszy w dziejach szkoły w biegu narciarskim, zajęła jednak dopiero drugie miejsce w strzelaniu. Tracz, Dzik i Malinka, musieli — niestety — zjechać z góry, na dukcie lewym wszelkie oszustwo było niemożliwe. Za dużo ludzi. Tym razem cud, ściśle już niebiański, poległ na tym, że pojawili się na mecie z całymi kończynami dolnymi i górnymi. Trzej demokraci, posiniaczeni, obolałi, kładli się na stanowisku strzeleckim jęcząc z bólu i z najwyższym trudem trafiali do tarczy, daleko jednak od czarnego krążka, oznaczającego środek. Szczęściem i zdenerwowani ponownym sukcesem przeciwnicy strzelali kiepsko. Ostatecznie humaniści zajęli drugie miejsce razem z matematykami, pierwszego nie* przyznano. Natomiast biskupiaczy, wyraźnie zawiedzeni, wściekli ze złości, pozostali daleko w tyle i nie wiedzieli z jakiej przyczyny zbli Buczackiego na kwaśne jabłko.



Czy Łódź jest fotogeniczna?

Obywatel Horacy Baćzek pomylił się w swoich przypuszczeniach, wyrażonych kiedyś w drukowanym przez nas liście. Telewizja Łódzka nie zapomniała o konkursie na zdjęcie o Łodzi i właśnie w ubiegłą środę przed kamerą telewizyjną odbyło się zakończenie tej ciekawej imprezy.

Był to już drugi konkurs fotograficzny, zorganizowany przez Łódzką Telewizję. Pierwszy, jak pamiętamy, dotyczył zdjęć archiwalnych o tematyce okupacyjnej i znalazł swój finał w audycji poświęconej rocznicy wrzesnia. Drugi miał mówić o Łodzi nowej, budującej się, Łodzi socjalistycznej. Jakoś nieszczęśliwie ogłoszono ten konkurs na jesień ubiegłego roku, kiedy polecały już na ziemię liście z drzew, kiedy pejzaż dla fotografa był nieciekawym i ubogim. Stąd też zrodziła się myśl przedłużenia terminu nadsyłania prac do 15 maja. Ostatecznie nie wszyscy, którzy chcieliby wziąć udział w tej imprezie posiadali w swych archiwach klatki ze zdjęciami, które tylko należało powiększyć do konkursowych rozmiarów. Wielu pragnęło zrobić zdjęcia nowe. A przecież dobry fotogram nie rodzi się na kamieniu. Za tematem trzeba pochodzić, trzeba znaleźć odpowiednie warunki świetlne, a dochodzi i czas na obróbkę laboratoryjną...

Ignacy Płażewski, prezes łódzkiego oddziału PTF był nawet zdania, że sam temat narzucony przez konkurs, będzie na tyle niepopularny, iż grozi kompletnym niepowodzeniem. — Ostatecznie — twierdził — PTF usiłowało już kilkakrotnie organizować takie łódzkie konkursy fotograficzne i nie dało to pozytywnych rezultatów.

W akcie wkroczyła telewizja, nowy instrument techniczny, który może w olbrzymim stopniu przyczynić się do popularyzacji fotografii artystycznej, reportażowej wśród najszerszych rzesz odbiorców programu telewizyjnego. Zrobiono dobry początek. Nadeszło sporo ciekawych prac. Nie wszystkie, bo prawda były utrzymane w granicach określonego tematu, ale i te wykraczające poza jego ramy wzbogaciły jakoś nasze wyobrażenia o Łodzi i utrwaliły wiele pięknych scen z życia miasta.

Ignacy Płażewski w swej wypowiedzi przygotowanej na uroczysty moment zakończenia konkursu stwierdził na zakończenie:

„To nieprawda, że Łódź nie jest fotogeniczna, trzeba jednak w twórczym poszukiwaniu jej rozpracować portretowych sereem rozgrzać temat. Przecież nie każdy artysta miał piękną matkę, ale gdyby ją na wystawie pokazał w namalowanym przez siebie portrecie, widzowie przed obrazem stali by w niemym zachwycie. Ten konkurs dzieł takich do portretu Łodzi na ogół nie dorzucił”.

Jeszcze nie dorzucił! Ale mamy nadzieję, że trzeci konkurs fotograficzny Łódzkiej Telewizji, który, jak nas informują, ogłoszony zostanie za dwa tygodnie, przyniesie już więcej prac na dobrym poziomie technicznym, prac mówiących rzetelnie, konkretnie o narodzinach Łodzi nowej. Pierwsza nagroda, której w tym konkursie nie przyznano — czeka. Jest nią telewizor. A więc fotomafory na start! Ale zanim chwycicie za kamery fotograficzne, posłuchajcie w środę, 22 czerwca wypowiedzi Ignacego Płażewskiego na temat fotogeniczności Łodzi. Wypowiedź ta będzie bogato ilustrowana zdjęciami Łodzi, wykonywanymi poprzez lata, przy zastosowaniu różnych technik fotograficznych.



Oto jedna z cyklu 10 prac nagrodzonych II nagroda nadesłanych przez Wiesława Antosika. „Nastroj miasta”

przyznano. Druga (radioodbiornik „Tatry”) za całość nadesłanych prac otrzymał Wiesław Antosik, wychowanek Polskiego Towarzystwa Fotograficznego. Nagroda trzecia (aparat fo-

tograficzny „Fenix”) za prace „Remont kamienicy” przypadła nie (zegarek „Pobieda”) otrzymał Wiesław Machejko za fotogram „Młodość naszego miasta”.



III nagroda na konkursie. Praca „Remont kamienicy” Autor Jacek Tworek

Termin nadsyłania prac na ten nowoogłoszony konkurs upłyne jesienią, tak, że czasu tym razem będzie dość.

Na razie niejako dla zachęty zapoznajmy się z laureatami ostatniego konkursu na zdjęcie o Łodzi. Pierwszej nagrody nie



W tym tygodniu radzimy obejrzeć

Myśleliśmy, że to już program wakacyjny, a więc nie co uboższy, tymczasem w repertuarze telewizji na najbliższe dni udało nam się za kreślić sporo ciekawych audycji. I tak:

Czwartek 16 czerwca, o godzinie 19 „Tele-echo” ale z Poznania. Przypuszczamy, że na tematy targowe. O 19.35 Łódzka Kronika Filmowa. Film krótkometrażowy produkcji holenderskiej pt. „Os Mundi” wyświetlony zostanie o godz. 20.30, a zaraz po nim PKF. No i wreszcie o godzinie 21.05 Teatr Sensacji „Kobra” prezentuje widowisko sensacyjne wg. Conan Doyle’a pt. „Kobieta”.

Piątek 17 czerwca przynosi oprócz reportażu z Międzynarodowych Targów Poznańskich świetny film krótkometrażowy produkcji polskiej (WFO) pt. „Bunt nie-mowląt”, o godz. 19.10. O godzinie 20.35 radzimy koniecznie obejrzeć łódzką inscenizację sztuki Leonida Leonowa „Złota karoca”.

Sobota 18 czerwca. W programie dla najmłodszych o godz. 16.26 quiz pt. „Naj-

młodszy sprawozdawca”. O 18.25 magazyn kulturalny „Pegaz”. Kronika filmowa „W górach wschodniej Syberii” wyświetlona będzie o godz. 19.30. O 20.30 radzimy obejrzeć film produkcji polskiej „Biały niedźwiedź”. Polecamy również (nieco na ślepo) komedię Janusza Oseki „Pst 17”, którą zapowiada Warszawa na godz. 22.25.

Niedziela 19 czerwca. Już o godz. 14.30, w czasie poobiedniej siesty, możemy obejrzeć sobie film prod. włoskiej „Walkonie” (dozwolony od lat 16). Potem będzie program dla dzieci a między innymi film Disney’a „O czym szumią wierzby” — godz. 15.55. O 17.30 nowe wydanie PKF i o 17.45 transmisja z Pragi sprawozdanie z międzynarodowych zawodów lekkoatletycznych. O 19.45 polecamy uwagę film produkcji amerykańskiej pt. „Sztuczna inteligencja”, o 20.45 teleturniej „Czytamy Zeromskiego”. O godzinie 20.40 wyświetlony zostanie film prod. radzieckiej „Bądź moim synem” (dozwolony wszakże od lat 12...).



Praca wyróżniona „Młodość naszego miasta”. Autor Wiesław Machejko.



W taście upału radzimy obejrzeć coś niecoś pod wodą...



KUPIĆ, NIE KUPIĆ

Muzeum brzydoty

Przechodniów ostrzeżają! W witrynie zakładu krawieckiego Romana Szymańskiego przy ul. Piotrkowskiej — straszny. Dziecko urodę przedziwną, odrobioną przez „artyście” z papieru i pomazane jaskrawa farbka — wywała nieco za duże gąły na przechodniów.

Ten sam zapewne „artyście” ozdobił sąsiednią witrynę Spółdzielni Pracy „Czerwonia”. I tutaj bowiem wystawiono maskarkę zdolną najodważniejszego przestraszyć.

Przynajmy, że to trochę nieprawdopodobne. Przy głównej ulicy pono europejskiego miasta ozdabia wy-

stawy jakiś niedouczony amator cierpiący na chroniczny brak dobrego smaku!

„Odgłosy” wypowiadają walke szmirze. Bedziemy po kazywać podobne kwiatki w naszym „muzeum brzydoty”.

Oczywiście, byłoby pożądane, żeby walke szmirze wypowiedziały również istniejący przy Wydziale Architektury — referat estetyki. O ile zresztą dobrze rozumiemy pojęcie „estetyka”, w tym celu chyba owa szatacowna instytucja została stworzona. Nie chcemy rzucać kamyczków do cudzego ogródka, ale jak dotychczas jedyna zdaje się zasługa referatu jest fakt, że... istniejskiego miasta ozdabia wy-

Dobre pomysły

Autorem najlepszego pomysłu sezonu jest kierownictwo Biblioteki Miejskiej im. Ludwika Waryńskiego. Otóż od kilku dni w parkach Poniałowskiego, Zródliska i na Zdrowiu czynne są punkty biblioteczne, wypożyczające książki i czasopisma od poczytującym na łonie natury mieszkańcom naszego miasta.



Pomysł naprawdę dobry. bo to i przyjemne, i pozytywne. A poza tym zwiększy się czytelność w parku i...

„kryminalów”. Bo przecież Prousta nikt w parku czytać nie będzie.

Warto obejrzeć

...urocza wystawę malarstwa Jadwigi Głowackiej, w pierwszych dniach otwarcia przez Salon CBWA przy ul. Piotrkowska 102).

Pejzaże tam eksponowane na pewno będą się podobać. Są pełne życia, rozmachu, pełne kolorystycznych sub-

telności co sprawiło, że już w pierwszych dniach otwarcia przez Salon CBWA przewinęło się sporo osób.

Naszemu Czytelnikom, którzy wystawy jeszcze nie widzieli gorąco malarstwo Głowackiej polecamy.

Trzy gracie i jeden purytanin



Niedawno w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki odbył się wieczór autorski Jana Sztudyngera. Wystawiono więc w witry-

nie Klubu olbrzymie plansze, na której trzy rozebrane (no bo iakże!) gracie robiły fraszkopisowi reklame.

Idylla trwała krótko. Już następnego dnia gracom dokładnie acz niezbyt zrecznie domalowano bielżne. Zagrożeńi moralnie przechodnie odetchnęli.

Sama sprawa właściwie biała, dreczy nas tylko myśl ponura. Bo coż się stanie, jeśli purytanin, który wdzieki gracom zamalował, odwiedzi kiedyś przypadkiem Muzeum Sztuki. Włos jeży się na głowie...

Jubileusz

Jak już z prasy codziennej wiadomo, Państwowe Liceum Muzyczne w Łodzi obchodzi w tych dniach dzieścielecie istnienia.

Nie chcąc dublować wiadomości z dzienników, podamy tylko, że w bieżącym

roku pierwszy rocznik byłych wychowanków liceum kończy wyższe studia. Oczywiście, w tym dniu dzieścielecie istnienia, bowiem jak nas poinformowano, 95 proc. absolwentów PLM rozpoczyna studia w wyższych uczelniach muzycznych w kraju.



**Łódzki
BIGOS HISTORYCZNY**

CO BYŁO A NIE JEST,
PISZEMY W REJESTR

(„Dziennik Łódzki” — pismo handlowe i literackie, rok 1891 m-ce I—VI, nry 2, 8, 11, 13, 15, 16, 22, 40—41)

W CYRKU

Ulica Zielona (plac Sellina) — codziennie przedstawienie. Występ znakomitego negra p. Thomsona ze swoimi 7-ma tresowanymi słoniami. Drugi występ panny de Bellfria znanej w świecie szkolnej najezdniczy. Na popołudniowe przedstawienie można jedno dziecko bezpłatnie wprowadzać!

DAMOM WZBRONIONO...

Z odwiedzania parlamentu zbiera obfite plony i na wyjazdach Oceanu Spokojnego, pełnie wyłączone. Praktyczni Japończycy obawiają się widocznie, że kobiety, których gadatliwość wrodzona

de Bellfria znanej w świecie szkolnej najezdniczy. Na popołudniowe przedstawienie można jedno dziecko bezpłatnie wprowadzać!

ODKRYCIE BARWNEJ FOTOGRAFIKI

Od dawna specjaliści starają się o uzyskanie fotografii utrwalających wraz z podobizną przedmiotu jego barwy. Już w roku 1810 Zebekowi udało się otrzymać podobną fotografię, wielce jednak niedokładną. Obecnie, uczonej japoński z Yokohamy Aurslewa-Rjoka-Nikom-Sanjukaubos-Kio-Bati-Ku wynalazł ostatecznie sposób utrwalenia barw przedmiotów na płycie fotograficznej.

Obecnie, uczonej japoński z Yokohamy Aurslewa-Rjoka-Nikom-Sanjukaubos-Kio-Bati-Ku wynalazł ostatecznie sposób utrwalenia barw przedmiotów na płycie fotograficznej.

BIAŁY DOM DO LIZANIA...

Jeden z bogatszych fabrykantów cukru w Stanach Zjednoczonych w Waszyngtonie uzyskał niedawno patent na cukier rafinowany, który przy budowlach ma za stąpić biały marmur. Odporność cukru przeciwko wpływom atmosferycznym jest zadziwiająca i przewyższa inne materiały. Na próbę ma być uskuteczniła przebudowa tzw. „Białego Domu” w Waszyngtonie.

W ŁODZI CUDOWNE DZIECKO!

Państwo R. mają synka, który w 3-cim roku swego życia okazywał niepospolity słuch muzyczny i zaczął wygrywać na cymbałkach dziecinnych łatwe melodie. Zwrócił to uwagę ojca, który zaczął udzielać chłopcu lekcji na fortepianie. Po pewnym czasie Arturek wygrywał piosenki w gronie rodziny tak udalnie, że zadziwiał słuchaczy.

Wiadomość o tem rozeszła się poza granice kółka rodziny, wielu też znawców muzyki a pomiędzy nimi muzyk tutejszy W. zapragnął posłuchać gry jego. Zachwycony popisem, poradził rodzicom, aby zasięgnęli opinii profesora konserwatorium berlińskiego, Joachima. Pp. R. u- stuchali tej rady i znakomity profesor zapowiedział mal-cowi SWIETNA PRZYSZ-ŁOŚĆ, jeśli talent jego będzie rozwijał się odpowiednio. Rozbrnił jednak popi- sów w szerszym kółku i poinformował w jaki sposób dziecko ma być wychowywane. Obecnie Arturek skoń- czył lat 4 i jak zapewniali jego bliscy, komponuje na fortepianie własne melodie, które naturalnie zachwycają rodzinę. Po pewnym czasie ojciec cudownego dziecka p. J.R. zamożny kupiec tutejszy, zamierza oddać je pod kierunek prof. Joachima.

W NASZYM HELENOWIE

W niedzielę 1 lutego, pierwszy raz w Łodzi przy sprzyjającej pogodzie maskarada na lodzie i „Noc wenecka” połączona z podwójnym koncertem. Wojskowa orkiestra rozpocznie grać o godz. 2-iej na lodzie, pod kier. Fleisch- jewa. W sali zaś łódzka orkiestra smyczkowa od godz. 3 po poł. wejście kop. 40 dzieci 20.

ŁODZI NIC

„Gazeta Warszawska” donosi, że w drodze właściwej wyjednano nowe stałe co- roczne subsydzium rządowe, ale tylko dla rządowych tea- trów warszawskich w kwocie rs. 60 000.

Wybrał: ZDZISŁAW ONICKI

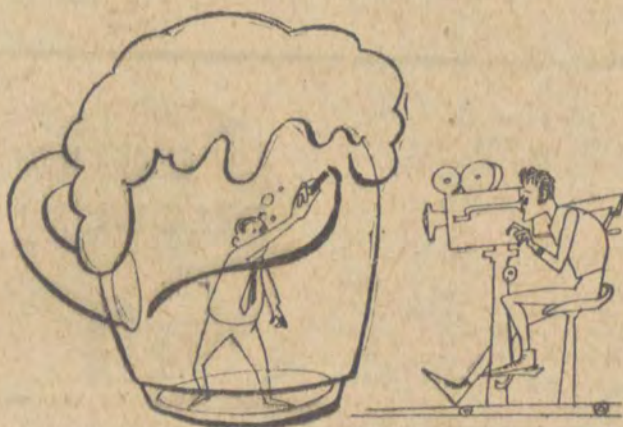
ALFA ROMEO (Włochy)

Jedna z bardziej znanych w świecie marek samochodowych; producent: Alfa Romeo S. p. A. via M. U. Traiana 33, Milano, Italia

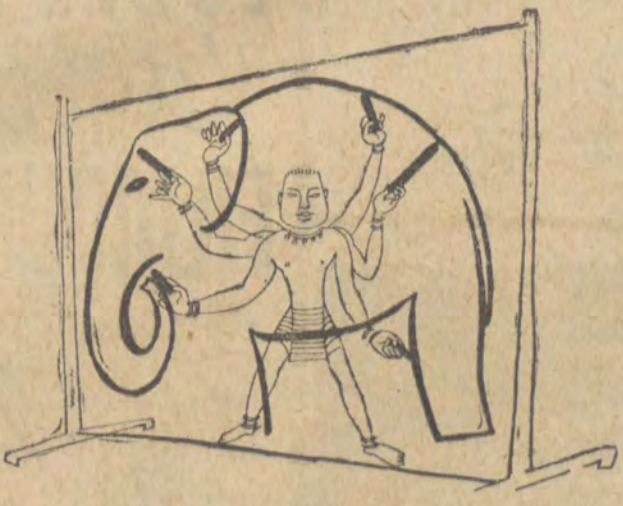


ALFA ROMEO GIULIETTA BERLINA

czterooosobowy wóz sportowy o wysokiej wydajności: 4 cylindry, 1290 cm³ poj., 53 KM przy 5200 obr./min., 4 biegowa skrzynia biegów całkowicie synchronizowana, zmiana biegów przy kierownicy; hamulce hydrauliczne; chłodzenie wodą, zbiornik pa- liwa o poj. 40 l., bateria 30 Ah, instalacja elektr. 12 V; czterodrzwiowy, czterooosobowy sedan o wadze 884 kg; ogumienie wym. 155-390; zużycie paliwa ca 7,5 — 10 l/100 km, maksymalna szybkość 140 km/h.



Czechosłowacja



Indie

JÓZEF SZÜR- SABO

Jeszcze żaden rysownik węgierski nie był przedstawiany w niniejszej rubryce. A przecież od kilku lat humorysty Węgry mają coraz więcej do powiedzenia w europejskiej karykaturze.

Józef Szür Sabo należy do najwybitniejszych współpracowników pisma satyrycznego „Ludos Matyi”. Za swoje zasługi został odznaczony wysoką nagrodą im. Munkassy'ego. Poza rysowaniem żartów do jego ulubionych zajęć należy praca w teatrze lalkowym, projektuje tam dekoracje i kostiumy.

Jest człowiekiem niezmiernie towarzyskim, występuje



ZYGMUNT FIJAS

WSZYSTKO DLA FUFIKA

Pod przychodnią weterynaryjną spotkałem Kołpikowskiego. Kupiec trzymał na smyczy ogromnego doga o mordzie ociekającej śliną i nawet nie słyszał, co do niego mówię. Dopiero gdy zwierzę szczerknęło, ocknął się.

— Co u pana słychać? — ponowilem pytanie.

— Co słychać? A prowadzę psa do lekarza.

— Coż mu dolega?

— Tak się moimi nie-szczęściami przejął, że nie jeść nie chce.

— A panu co dokuczają?

Kołpikowski podał mi gazetę. Przeczytałem w niej co następuje: „Dziesiąty urząd skarbowy podaje do wiadomości, że w dniu jutrzejszym odbędzie się sprzedaż z licytacji następujących ruchomości Wacława Kołpikowskiego: czterech krzesel bez jednej nogi, blaszanej miednicy, oleodruku przedstawiającego polowanie na świstaki, 2 kg knotów do lamp, czternastu worków jutowych, siedmiu paczek taśm do przywiązywania materiałów, jednej drabiny podwójnej nr 2, czterech poniklowanych stelarzy”.

— Komu pan to pokazuje?

Osu? — zaśmiałem się. — Splajtował pan rozmyślnie, sobie zręcznie rezerwując najbardziej łuste kąski!

W oczach Kołpikowskiego błysnął piorun.

— Nie życzyłbym panu takich kąsków... Wkrótce nie będę miał na wątrobie dla psa!... Jest to rasowy dog z metrykami... A zresztą pal pana sęki! — syknął na pożegnanie — jeszcze dożyję tej przyjemności, że będę pana odrzynał od stryczka.

Różne rzeczy podtrzymują w nas tradycję naszej wielkości. Czasem bywają nimi zwyczajnie pica czarnej kawy po obiedzie, czasem Tower, Westminster, Wawel, Kreml, Luwr, Escorial a czasem zwyczajny pies o ociekającej śliną mordzie.

Znowu spotkałem Kołpikowskiego. Był zupełnie zdruzgotany. Głowa mu się trzęsła jak starcowi.

— Coż się znowu przydarzyło? — zapytałem z przejęciem.

— Okradli mnie! — jęknął — Złodzieje przyszli nocą, o brali całe mieszkanie...

Garnek z kosztownościami też wykopali... Teraz to już naprawdę, nie będę miał na wątrobie dla psa.

— Trzeba będzie się chwycić jakiejś pracy — podpowiedziałem.

Kołpikowski uszczyplnął mnie w łokieć. — Panie Wojtku ja nie mogę u kogoś pracować. Ten pies musi być stale przy mnie. We własnym interesie, który szedł sam bez trzymania jak rower. Mogę robić, co mi się podobalo, w spółdzielni ja psa trzymać nie mogę.

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

— Gdzie Fufik?... Jest w prywatnym internacie dla psów... Treser układa go na nowo... Życie upelnie mi go sprowadziło na psy... zrobiło zeń chuligana; zaczął się rzucać na ludzi jak wściekły... A co?... indywidualny podział dochodów narodowych nie pozwala na taką ich korekturę, iżby człowiek nie mógł sobie pozwolić na internat dla miłego zwierzęcia?

Redaguje Zespół • Wydawca: W. Jaworski • „Prasa Łódzka” • Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 38, tel. 244 79 • Warianty presumeraty miesięcznie 4— zł kwartalnie 12— zł • Redakcja nie zamawia reklam • Zwraca • Prenumeratę przyjmują wszystkie drukarnie pocztowe. Istotniejsze oraz P.P.P.K. „Ruch” — z zastrzeżeniem na „Odrobiny”, Druk RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 11 Z, 1838, VI 1980 r. R 4



**ZAWODZIE OPERATORA FILMOWEGO
KSZTAŁCENIU „TELEWIZYJNYM”
WŁASNYCH PLANACH TWÓRCZYCH**

**OPOWIADA
prof. ST. WOHL**

— Jakim warunkom powinien odpowiadać kandydat na operatora — zapytał p. Stanisława Wohla, prorektora i opiekuna Wydziału Operatorskiego Łódzkiej Szkoły Filmowej, wieloletniego operatora i znanego — przede wszystkim dzięki filmowi „1000 talarów” — reżysera.

— Kandydat taki — mówi profesor Wohl — winien być obdarzony co najmniej uzdolnieniami plastycznymi, a najlepiej talentem plastycznym, a także — inteligencją, wyostrzoną, wrażliwością na inne gatunki twórczości artystycznej i zmysłem technicznym. Praca operatora wymaga również dużej sprawności fizycznej. Na wydziale wprowadzamy nawet ćwiczenia akrobatyczne.

— Czy kształcenie operatorów na wyższych uczelniach jest sensowne?

— Sensowne na pewno. Problem byłby tu chyba inny: czy możemy sobie na to pozwolić? W innych krajach na wydziały operatorskie przyjmowani są kandydaci po wyższych studiach. Okras kształcenia operatora musiałaby u nas w takim wypadku trwać 7—8 lat biorąc pod uwagę okres studiów w obu uczelniach. Dla państwa lepiej jeśli operatorów kształci się w jednej szkole. Daje im się w ten sposób wykształcenie jednolite kierunkowo. Bo w gruncie rzeczy nie wiadomo do jakich wydziałów najlepiej byłoby kandydatów przyjmować — po historii sztuki, po szkole plastycznej, politechnice czy też może do wydziałów humanistycznych. Jeśli chodzi o reżyserów nie jest to także istotne od nich wina gamy po prostu doświadczenia życiowego. Nawiasem mówiąc, od czasu kiedy zaczęliśmy żądać od kandydatów na wydział reżyserski wyższego wykształcenia — ilość ich znacznie się zmniejsza. Moim zdaniem, dobrze byłoby przyjmować na wydział reżyserski właśnie niektórych absolwentów — operatorów.

— O ile wiem, chętnie Pan współpracuje z telewizją. A

czy w Szkole Filmowej wypełnia sprawa telewizyjną?

— Oczywiście. Niedawno sformułowaliśmy program nauczania „elementów telewizji”. Właśnie jestem za ten dział odpowiedzialny. Już w tej chwili studenci trzeciego roku wydz. reżyserskiego kręcą 5 filmów telewizyjnych oraz będą realizować programy „nadawane na żywo”. Wydaje mi się, że kino jako widowisko zbiorowe ma coraz mniejsze perspektywy. Zastąpi je chyba kino domowe — między innymi w postaci telewizji, oraz małych projektorów i prywatnych zbiorów taśm.

— Słyszałem, że po sukcesie „Jezióra Bodeńskiego” w telewizji zamierza Pan nakręcić na podstawie tej powieści Dygala pełnometrażowy film?

— Zamierzałem, ale odrzuciono scenariusz. „Jezióra Bodeńskiego” mam zamiar wystawić z nowym sezonem w Teatrze Współczesnym w Warszawie.

— Czy dla telewizji Pan także coś przygotowuje?

— W tej chwili dwuosobowa sztuka, Peyronet Chanuis — „Judvta”. Po nadto jesienią mam zamiar realizować adaptację środkowej części powieści Goethego „Wilhelm Meister”, zatytułowaną „Lata walki”. Bohater widowiska reżyse-

ruje i gra główną rolę w „Hamlecie”. W jego wypowiedziach w czasie prób sztuk; zawarte są niezwykle ciekawe myśli o Hamlecie, o Szekspirze i o teatrze w ogóle. Jeszcze później będę prawdopodobnie robił „Pastwisko na Derborence” Ramuza.

— Było „1000 talarów”, były elementy komediowe w „Jeziórze Bodeńskim” — czy Pan nie zauważył u siebie specjalnych skłonności do komedii, satyry?

— Uważam, że żadne widowisko nie może być pozbawione elementów komediowych.

— Jednak rezygnację z tych elementów dostrzegają w większości arcydzieł filmowych po wojnie...

— Myślę, że tego rodzaju filmy nie mają zwykłego powodzenia u publiczności.

— Czy jest Pan zadowolony ze swoich wychowańków?

— Zadowolony? Osiągnięcia naszych operatorów zajmują jedno z czołowych miejsc w Europie. Jestem dumny! Wychowałem przecież Webera, Liomana, Wólcika, Jahodę i tylu innych pracujących w filmie dokumentalnym, oświatowym i animowanym.

**ZA TYDZIEŃ
W „MIESZANCE”
Ewa
Krzyżewska**

Irlandia to kraj może nie tyle dziwaków, co ludzi osobliwych, przesadnie wierzących tradycjom i obyczajom. Tym bardziej osobliwie wygląda mentalność prowincjonalnych Irlandczyków z początku naszego stulecia, gdy zestawimy ją z mentalnością przybyszów — Amerykanina pochodzenia Irlandzkiego.

Również Irlandczykiem z pochodzenia, a Amerykaninem z paszportu i reżyserskim Hollywoodu jest John Ford — autor wyświetlanego po wojnie „Miasta bezprawia” i niestety, nie oglądanej w Polsce bardzo dobrej adaptacji powieści Steinbecka „Grona gniewu”. Nie obcy mu widocznie jest tak zwany „stary kraj”, skoro przed ośmiu laty zrealizował komedie, w której ukazuje trochę z sentymentem i lekko, trochę z ironią, a przede wszystkim z humo-

rem — Irlandie swojej młodości.

Schemat fabularny filmu Forda „Spokojny człowiek” jest dość prosty — reemigrant z Ameryki postanawia po kilkunastu latach osiąść z powrotem w rodzinnym miasteczku irlandzkim. Poznał młoda kobietę i pragnie ją poślubić. Niestety, napotyka na zdecydowany opór ze strony jej brata. Nie pomaga nawet pomoc elokwentnego, a zawsze pijanego swata. Spokój zostaje zakłócony. Wielka awantura, jakiej tu dawno nikt nie widział, wisi na włosku i jest z niecierpliwością oczekiwanym wydarzeniem.

Oczywiście jak w każdej komedii wszystko kończy się dobrze. Dodać trzeba, że reżyser John Ford świetnie oddał atmosferę prowincji irlandzkiej; ukazał cały szereg kapitalnych twórczych; zbudował wiele sytu-

acji komediowych, czasami nawet wręcz groźnych i dramatycznych. Narracja prowadzona jest w dość szybkim tempie, poparta dobrymi zdjęciami, a przede wszystkim doskonałym zespołem aktorskim, w większości podobno składającym się z Irlandczyków.

Wyróżnia się swoją wiością znakomity Barry Fitzgerald w roli swata. Bardzo żywa postać zatwardziałego i skorego do bitki brata stworzył Victor Mac Laglen. Pare „zakochanych z przeszkodami” grają: Maureen O'Hara oraz John Wayne jeden z czołowych amantów Hollywoodu, u nas widziany ostatnio w „Nocy nad Pacyfikiem”.

W czerwowym repertuarze „Spokojnego człowieka” należy zaliczyć do pozycji cennych i udanych.

A. N.



Nadia Tiller w filmie „Labyrinth”

Przeczytaj... pokiwnaj głową!

1958 ZOBACZCIE KONIECZNIE WARTO POJŚĆ MOŻNA SOBIE DAROWAĆ	1959 BYLIŚMY ZACHWYCENI BYLIŚMY ZADOWOLENI BYLIŚMY ZAWIEDZENI	1960 EPIKA, DRAMAT SPOŁECZNY LECZNY KOMEDIA ... itd.
--	--	---

Przed kilku laty Jerzy Plazewski wraz z Adamem Pawlikowskim (ostatnio zaś „Dudusia”, który poszedł w „aktory” złuzował Zbigniew Pitera) założył w „Przebiegach Kulturalnym” rubrykę króciutkich recenzji filmowych. Pomysł interesujący, choć oczywiście nie nowy — interesująca też była przeważnie jego realizacja. Ale... lata płyną, temperamenty krytyczne łatwo ulegają stępieniu. Przypatrzcie się (vide tabelka u góry) jak w ciągu lat zmienia się skala ocen P. P. Krytyków z

„Przebiegów”. Najpierw były noty całkiem zdecydowane. Później już barć jej umiarkowane (znikła rubryczka „Można sobie darować”). Obecnie zaś — zostały zastąpione podziałem na gatunki... Po co się wychylać?

Coś mi się zdaje, że metafora sympatycznej rubryki „Przebiegów” nieźle ilustruje przemiany, które zaszły w całej polskiej krytyce filmowej.

JANUSZ WEYCHERT

„SPOKOJNY CZŁOWIEK”



Elizabeth Taylor — najlepiej zarabiająca aktorka świata

ŁÓDZCY AKTORZY FILMOWI

Barbara Połomska

— Pani debiut filmowy odbył się w roku 1954, w filmie reż. Rybkowskiego „Godziny nadziei”. Popularność w kraju i zagranicą zyskała Pani: główną rolę w filmie polsko-czeskim „Zadzwonił do mojej żony”.

Poza tym grała Pani w „Syrenie warszawskiej”, „Skarbie kapitana Martensa”, „Inspekcji pana Anatola”, „Eroide”, „Zezowatym szczęściu”. Chyba w skrócie tak przedstawia się Pani filmografia?

— Dodałabym jeszcze rolę w filmie czesko-jugosłowiańskim „Gwiazda jeździe na południe” który prawdopodobnie nie wejdzie jednak u nas na ekrany. Ale niech Pan zadaje pytania, nie potrafię sama o sobie opowiadać.

— Czy Pani ma, zawsze tremę?

— Prawie zawsze, przed każdym publicznym występem.

— W tej chwili też?

— Trochę, a pan?

— Ja w tej chwili nie występuję publicznie... Czy mają Pani, operator filmowy — Bogusław Lambach, krępuje Pani również na planie podczas realizacji filmów?

— Mój mąż jest bardzo krytyczny a szczególnie w stosunku do mojej pracy

aktorskiej. W ogóle wszystkie „występy przed rodziną” bardzo przeżywałam.

— Grała Pani w wodewilu Krumłowskiego „Królowa przedmieścia”, czy lubi Pani śpiewać?

— W teatrze śpiewałam dość często oprócz „Królowej przedmieścia” w komedii „Dotykać nie wolno”, gdzie grałam u boku Pani Jadwigi Kandy z którą bardzo dobrze się współpracuję. Będę również śpiewała w najbliższej premierze w Teatrze Powszechnym, w komedii współczesnego włoskiego dramaturga Dario Fo — „Archaniołowie nie grają w bilard”.

— Czy lubi Pani grać tylko role komediowe?

— Nie tylko. Bardzo chcę zróżnicować swój repertuar. Taka próba jest moja obecna rola w dramacie Victora Hugo „Angelo, tyran Padwy”.

— Moim zdaniem próba ta wypadła dla Pani pomyślnie. Ale wróćmy do filmu. W jakiej roli znów Panią ujrzymy na ekranie?

— Na razie w żadnej, postanowiłam cały rok grać w teatrze.

— Z jakim aktorem zagranicznym chciałaby Pani zagrać w filmie?

— W roli dramatycznej partnerem takim byłby Jean Gabin, a w roli komediowej Gregory Peck.

— A u jakiego reżysera?

— U René Claira lub Jean Renoira.

— Jaki ostatnio film najbardziej się Pani podobał?

— Przede wszystkim „Ballada o żołnierzu” Czuchraja, to świetny film i rewelacyjny jego młodzi aktorzy.

— Czy śniata się Pani jako widz oglądając „Inspekcję pana Anatola”?

— Tak. Bardzo mi się podobał: Fijewski i Kobiela. Z siebie byłam bardzo niezadowolona. To nie żadna kokieteria, ale ja na ekranie nie podobam się sobie samej.

— O jakiej roli Pani marzy w teatrze?

— Lilli Wenedy w dramacie Słowackiego.

— Pani marzenie jako żony?

— Żeby móc częściej spotykać się z mężem. Bardzo rzadko mamy oboje jednocześnie czas. Gdy ja gram w teatrze wieczorem on wtedy ma wolne. I odwrotnie — ja mam czas wolny, a on błądnie już do atelier kreć film.

— Jaki film?

— Z reż. Rybkowskim realizuję wspólnie z berlińską DEFA film o zagładzie Drezna — „Dziś w nocy umrze miasto”.

— Gdzie Pani spędzi wakacje?

— Chciałabym pojechać do jakiegoś mało uczeszczonego miejscowości nad morzem lub na Mazurach. Posiadamy z mężem składany kajak. Cóż z tego, gdy nie mamy czasu. Oboje marzymy też o zimowym urlopie w górach, i o własnym osobnym mieszkaniu. A ja? Żeby nauczyć się wreszcie grać w brydża i skłonić do tego też mojego męża.

Rozmawiał: **▲ NIESMIALEK**